Nr. 8. Warszawa, dnia 13 (25) Lutego 1899 r. Rok XIX.

# PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
**W Warszawie**: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10

***Adres: Nowogrodzka Nr. 39.***

**Administracya** otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
**Redaktor** przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
**Rękopisy** drobne nie zwracają się.

**Przedpłatę przyjmują**: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
**Sprzedaż pojedynczych numerów** po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.





## POLITYKA.

### NOWY CZŁOWIEK.

Kiedy telegraf rozniósł po Europie wiadomość, prawdziwie niespodziewaną, o skonie Faure'a — pytano się i spierano o to: kto zostanie jego następcą? Sam Faure swoją prezydenturą wątpliwość do pewnego stopnia rozstrzygał: utrzymał się w styczniu 1895 r. po Casimir-Perierze dlatego tylko, że zaledwie dopiero wypłynął był na wierzch jako minister marynarki, gdzie głównem jego zadaniem było, oczywiście, nie budowanie statków ani staczanie bitew, na czem się nie znał, ale przestrzeganie porządku w gospodarstwie, dającem tak szerokie do nieporządków pole, co mógł już z korzyścią dla rzeczypospolitej, dla jej skarbu podjąć. Wybrano wówczas tego, kto najmniej kłół w oczy, miał najmniej jaskrawego blasku, najlepiej był ucharakteryzowany na republikanina znośnego dla wszystkich, kto stanowił przeciętną wielkość. Prócz tej przeciętności przemawiała za nim i jego ideowa czczość a materyalna pełność: p. Faure nigdy nie rozumował, nie snuł myśli i pomysłów, nie roztaczał obrazów, nie zawieszał lampek z zasadami, nie rozpalał ideałów: był człowiekiem praktycznym i w tem powołaniu dorobił się milionowego majątku, co Francuzom zwłaszcza imponuje: kandydat miał i powagę i postawę, miał rozsądek, a w dodatku i uczciwość. Nie czci się jej w życiu politycznem, ale się jej często potrzebuje. P. Faure przeszedł.

Przeciętność miała rozstrzygnąć i teraz. P. Brisson był zanadto republikaninem dla republikanów umiarkowanych, liczebnie najsilniejszych, dźwigających ciężar rzeczypospolitej, przy pomocy monarchistów, bulanżystów, antisemitów, anti-rewizyonistów, przyjaciół ojczyzny francuskiej. Zdawało się, że w wieku, w którym zręczność i tężyzna więcej może popłaca, niż w dawniejszych, najtęższy i najzręczniejszy, przytem i najmłodszy, a w zasadach najzupełniej umiarkowany, p. Karol Dupuy, prezes gabinetu, dostanie się na prezydenturę. Stało się przecież inaczej: z urn wersalskich d. 18 b. m. wyszedł trochę od niego ostrzej rysujący się, silniej ucharakteryzowany p. Loubet, prezes senatu. Wybór taki, będąc właściwie awansem, gdyż prezes senatu idzie w godności zaraz po prezydencie rzeczypospolitej, nie przeniewierza się tradycyi: wyrzuca człowieka przeciętnego, zdolnego w rzeczypospolitej zadowolić nietylko republikanów, ale i monarchistów.

P. Loubet jest człowiekiem z zasadami, może nawet z uczuciami republikańskiemi, ale jest człowiekiem bez ideału, a gdyby go nawet miał, w 61-m roku życia nie byłby już strasznym: ideał bez młodości nie trwoży już, bo nie wywraca. Za p. Loubet'em nie stoi nikt chyba, tylko on sam, jak za każdym ze starszych: dawny człowiek z dni młodych i mężkich, po którym się przeleciało, przemknęło. Jego senatorska powaga, miara, takt i rytm, które go wyniosły na czoło senatu, będą i teraz najważniejszemi jego wsporami w ciężkiem bądź co bądź powołaniu prezydenta rzeczypospolitej francuskiej. Im mniej będzie miał własnych idei, tem lepiej dla niego i dla Francyi.

To poszukiwanie człowieka jak najmniejszego z wybitnych, z tych, którzy już dostali się na estradę i z niej widzialni są dla wszystkich — człowieka, któryby jak najmniej myślał, czuł, ruszał się i robił własną swą indywidualnością, jest momentem znamiennym dla dzisiejszej Francyi. Wolno wierzyć lub nie wierzyć w teoryę bohaterstwa, jego stosunku do szarych mas, jego powołania w dziejach: wolno Carlyle'owskiego Odina brać za cel pocisków zjadliwego humoru: wolno wielkiemi słowami orzekać, że nastała już w ludzkości epoka rozwoju zbiorowego, tworzącego czyny drobnoziarniste, małe wprawdzie, ale zgodnością i liczebnością potężne: człowiek zbiorowy, najlepiej nawet zorganizowany, zasilać się, żyć, rozrastać, w lepsze jutro kroczyć może tylko dzięki człowiekowi indywidualnemu, niosącemu w sobie wyższą nad innych dzielność. Co z literaturą i sztuką, to i z życiem. Tak było zawsze i tak zawsze będzie. Jeżeli kto, to Francya takich właśnie wyższych indywidualności potrzebuje, a im stanowisko wyższe, tem i potrzeba większa. Na najwyższem, na które polityka kompromisu niedołęztwa z nicością wynosi ludzi jak najmniej szkodliwych, dziś właśnie potrzeba człowieka nietylko poruszającego się na zewnątrz nałogiem życia, ale i z wewnątrz poruszanego duchem, życie tworzącym.

---

**Tydzień polityczny**. Feliks Faure, ur. d. 30 stycznia 1841 r., obrany prezydentem Rzeczypospolitej francuskiej d. 17 stycznia 1895 r., zmarł nagle w Paryżu d. 16 lutego. W myśl konstytucyi zwołany do Wersalu kongres, tj. zgromadzenie obu Izb, d. 18 wieczorem wybrał na następcę jego do r. 1906 prezesa senatu, Emila Loubeta. Oświadczyły się za nim 483 głosy, 270 padło na Meline'a, kandydata bonapartystów, orleanistów i zachowawców, wciągających w siebie wiatr monarchii. Bulanżyści, antisemici, narodowcy, miłośnicy cnoty i wskrzesiciele ojczyzny francuskiej, pokrzyczeli trochę,

opływali już nowowybranego, kiedy był jeszcze kandydatem; ale nie zrobili jeszcze biedy. Kandydaci do tronu porozsyłali sekretarzy i kuryerów, ale jeszcze i oni nie przedsięwzięli nic — bo nie mieli z czem.

Zewsząd otrzymał rząd francuski, sejm i wdowa po Faureze wyrazy współczucia. P. minister spr. zagranicznych wystosował do ks. Urusowa, ambasadora Rosyi, następujący telegram: „Jego Cesarska Mość, Najjaśniejszy Pan, poleca Panu, abyś przed rządem francuskim był tłomaczem głębokiego i szczerego współczucia, jakiem przejęci są Ich Cesarskie Moście Najjaśniejsi Państwo wobec okrutnej straty, która dotknęła zaprzyjaźnioną Francyę. Cała Rosya podziela to współczucie jak najżywiej.“ W Berlinie w piątek kanclerz Hohenlohe wyrażając żałość, wyraził i „serdeczną sympatyę rządu, sejmu i narodu niemieckiego dla narodu francuskiego.“ Dyplomacya w potędze najwyższej.

Posłowie czescy ogłosili manifest do narodu. Żądają pomnożenia praw sejmu, rozszerzenia samorządu, równouprawnienia językowego, słuszności i sprawiedliwości w całym organizmie państwa. O prawach historycznych milczą; a to samo wystarcza do domniemania, że nie chcą do upadłego uciekać od zgody z Niemcami; chociaż, rzecz dziwna, że prawa historyczne Rudolfa II były tak samo Niemcom, jak Czechom nadane.

Banffy stanowczo już ustąpił. Król musiał go poświęcić. Na razie ustępstwo skutkowało: opozycya d. 20 b. m. w sejmie milczała. Szell obejmuje spadek — nie lekki. Pobór rekruta na Węgrzech wstrzymany. Płacenie podatków dobrowolne.

Sejm pruski radził nad kulturowem podniesieniem Poznania (muzeum, biblioteka, instytut hygieniczny). Uchwalenie jest niewątpliwe. Ksiądz Jażdżewski interpelował p. von Recke o zjazd lekarzy. P. von Recke zasłonił się groźnem niebezpieczeństwem i narodową bezpłciowością nauki. P. Friedberg podziękował ministrowi. Większość biła oklaski.

W sejmie niemieckim środek zaczyna już służyć i warować. W komisyi przy projekcie pomnożenia armii rozszczepił się, aby przejście umożliwić; przy projekcie podziału na 22 okręgi wojskowe — *virilim* go poparł.

W Izbie niższej podczas rozpraw nad adresem Labouchère zażądał ograniczenia *veto* Izby lordów na czas jednej tylko sesyi. Walton wniósł ogólną reformę tej Izby. Oba wnioski odrzucono.

Podejrzani o zamach na życie cesarza Wilhelma, knowany w Aleksandryi, podczas podróży cesarskiej na Wschód idą jako zwykli anarchiści pod sąd w Ankonie.

Amerykanie na Filipinach posunęli się od Manili w głąb kraju. Zajęli też Ilo-ilo (d. 11 b.m.). Flota współdziałała. D. 15 b. m. było 3,000 chorych. W senacie przeszła uchwała na wniosek Enerego, ograniczająca przyłączenie wysp do protektoratu nad udzielnością krajowców. Wyłączono ich uobywatelenie z musu i anneksyę.

Kalif Abdullah w Kordofanie ma uderzyć na Anglików w Chartumie. Z Francyą układy Anglii o górny Nil są podobno na dobrej drodze.

Sejm kreteński zgromadził się d. 20 b. m. Nowy statut jeszcze uchwalony na nim nie będzie.

## ŻYCIE SPOŁECZNE

### JAK PRACUJĄ NASZE KOBIETY?

Udałem się na posiedzenie delegacyi pracy kobiet, ażeby swoje osobiste spostrzeżenia uzupełnić u źródła, dowiedzieć się, w jakiej fazie jest ta praca, jakim uległa przemianom pod wpływem czynników ekonomicznych i społecznych naszego życia. To, com posłyszał na posiedzeniu, utwierdziło mię tylko we wnioskach już sformułowanych.

Jak nasze kobiety pracują? Na to pytanie musimy dać odpowiedź długą i niepocieszającą. Oto, co mówi czynna protektorka pracownic, p. Bojanowska, w referacie odczytanym na posiedzeniu delegacyi: „Brak elementarnej nauki u jednych a salonowość wykształcenia u innych, nie rozwijają w nich poczucia obowiązku, rzetelności w spełnianiu przyjętych zadań. Przeciwnie—ujawniają one często niczem nieuzasadnione żądania. Z setek kobiet, zgłaszających się do delegacyi, olbrzymia większość nie posiada wcale wykształcenia fachowego, a połowa z nich pragnie koniecznie zajęcia w redakcyach pism lub miejsc buchhalterek i kasyerek w firmach renomowanych. Wreszcie znaczna liczba kobiet uważa swoją pracę za tymczasową, bez jutra, w nadziei spotkania wybawiciela, męża! Nie traktują więc jej jako zawodu życiowego.“

Tak mówi kobieta o kobietach - pracownicach, z któremi się zetknęła bardzo blizko. W charakterystyce tej niema ani krzty przesady. Porównajmy np. uzdolnienia i sposób traktowania pracy mężczyzn i kobiet. Mężczyzna przedewszystkiem nie zna żadnej tymczasowości. Od lat młodzieńczych wkłada na siebie jarzmo obowiązków i idzie mozolną drogą życia, na której przybywa mu coraz więcej ciężaru. Dla kobiety zwłaszcza lekko traktującej wszelkie obowiązki, życie rodzinne jest wytchnieniem i przytułkiem, dla mężczyzny — wozem ładownym, dźwiganym najczęściej niepodzielnie własnemi barkami, nietylko po grudzie, ale i po ślizgawicy życiowej. Wóz ten idzie nieustannie po krętej drodze pod górę, a ciężaru na nim przybywa w stosunku odwrotnym do sił motoru. Gdy ramiona mężczyzny omdleją lub opadną martwe, wóz potoczy się w dół po drodze przebytej i roztrzaska się o głazy życia.

Mężczyzna, jeżeli posiada w kieszeni świadectwo z ukończenia sześciu klas gimnazyum, kołacze o pracę nieśmiało, czuje niedostateczność przygotowania, widzi jasno brak sił do współzawodnictwa z ludźmi posiadającymi wyższe wykształcenie. Kobieta zaś po skończeniu pensyi tak się zachowuje, jak gdyby miała co najmniej dyplom uniwersytetu lub jakiej politechniki i stosownie do tego pojęcia o sobie, nakreśla szerokie granice wymagań.

Ponieważ większość młodych panien marzy o jednem najmocniejszem stanowisku społecznem i ekonomicznem — zamążpójściu, w taki sposób, ażeby usiąść na wozie ładownym, ciągnionym przez męża, więc oczywiście każda z nich wszelką pracę uważa za zajęcie tymczasowe, traktuje przyjęte zobowiązania lekceważąco i powierzchownie. Taki stan rzeczy, trwający od dawna, wytworzył znamienne cechy charakteru kobiet. Jeżeli się biorą do nauki fachowej, to bardzo mały procent ich wytrwa rzetelnie do końca. Pewna właścicielka zakładu introligatorskiego skarżyła się przed nami, że jej uczenice, w znacznej większości uczęszczają na praktykę niesystematycznie, nie trzymają się ani dni, ani godzin, a potem, nie dobiegłszy do końca kursu, otwierają własne zakłady.

Taką drogą szerzy się niebezpieczna fuszerka. Widzimy to niemal na wszystkich polach pracy kobiet, szczególnie zaś w zawodzie pedagogicznym. Mamy mnóstwo nauczycielek tak słabo przygotowanych i tak mało nadających się do tej poważnej dziedziny, że ich działalność nietylko pożytku nie przynosi ale nawet krzywdę wyrządza społeczeństwu. Ten pospiesznie zdobyty proceder w ostatnich latach tak gwałtownie i szeroko się rozwinął, że niema prawie fachu, który nie byłby dotknięty tą plagą. Szczególnie to się daje spostrzegać w zawodach łatwych. Mamy liczne rzesze nauczycielek retuszeryi, malowania, kroju, szycia, robienia krawatów, kwiatów itd., które poświęciły parę miesięcy a nawet tygodni na naukę. Wypuszczają one również pospiesznie setki nowych uczenic, jeszcze słabiej przygotowanych, które także obierają zawód nauczycielski.

Słyszałem postanowienie pewnej panny: „Muszę wziąć *parę* lekcyj buchhalteryi, gdyż mam zamiar postarać się o posadę buchalterki.“ Postanowienie to było tem bardziej imponujące, że panna często nie umiała poradzić sobie z czterema działaniami arytmetycznemi. Ale oto inny, jeszcze wymowniejszy przykład: Pewna panna, uczenica kursów fachowych, najgorzej notowana pod względem pilności i stałego uczęszczania na lekcye, opuściła zakład nie wytrwawszy do końca. Wkrótce potem zgłosiła się do swojej przełożonej z prośbą, ażeby jej poprawiła *curiculum vitae*, gdyż od tego zależy otrzymanie bardzo korzystnej posady. Między innemi w tej autobiografii kandydatka napisała, że „świetnie“ skończyła owe kursy. „Cóż to pani szkodzi! — starała się przekonać przełożoną — przecież ja bym chciała tym sposobem dostać dobrą posadę...“

Przełożonej może to nie szkodzi tem bardziej, że autobiografia uczenicy nie jest świadectwem zakładu: takie wszakże traktowanie pracy i obowiązków nietylko szkodzi, ale wyrządza ciężką, niepowetowaną krzywdę tym kobietom, które posiadając uzdolnienie odpowiednie, chcą pracować i pracują rzetelnie. Zarobkodawca, który się zawiedzie na jednej lub drugiej, już nie da nigdy zajęcia żadnej innej, chociażby była najzdolniejszą i najpracowitszą.

Na takim gruncie rozwinęła swoją działalność delegacya pracy kobiet. Chciała ona rozpocząć orkę głęboką, odkładać mocnym lemieszem skiby żyznej ziemi i zasiać w niej ziarna pracy, z której wyrósłby dobrobyt naszych kobiet, ochraniający od poniewierki i niedoli. Tymczasem natrafiła na piaski lotne, które przy lada podmuchu przerzucają się z miejsca na miejsce, tworzą góry, trudne do przebycia i zasypują grządki mozolnie ocalone. Dziwić się nie można, że w takich warunkach delegacya, pomimo paroletniej działalności, nic jeszcze ważnego i trwałego nie stworzyła. Ciągle ten piasek lotny zasypuje jej oczy i drogę. Chcąc działać skutecznie, trzeba wciągnąć do wspólnych zabiegów najszersze koła kobiet: to podstawy wszelkiej pracy owocnej. Delegacya, mając to na myśli, usiłuje skupić około głównego ogniska zabiegów jaknajwięcej niewiast, chętnych do pracy społecznej i obywatelskiej. Zjednawszy tedy z wielkim mozołem kilkadziesiąt uczestniczek, rozsyła 60 zaproszeń na posiedzenie, na które przybywa... *piętnaście!* To rys znamienny, który się ujawnia we wszelkich postaciach działalności delegacyi. Można wiele zarzucić różnym instytucyom, skupiającym życie ekonomiczne i społeczne, w których biorą udział mężczyźni. Ale niech np. na porządek dzienny sekcyi rolnej wejdzie chociażby jedna kwestya żywotna, przybędzie tam tylu członków, że miejsca w sali zabraknie. Odrywają się oni od ciężkich obowiązków i przyjeżdżają nawet z odległych okolic kraju.

Gdy ta sekcya powoła do życia jaką delegacyę i powierzy jej pewne zadania, wywiązuje się ona z nich zawsze, pomimo pilnych i nieraz ciężkich spraw osobistych. Gdy zaś delegacya pracy kobiet powierzy swoim członkom chociażby jakąś drobną „ankietę“ prywatną — otrzyma niewątpliwie liczne obietnice, ale ani jednego owocu w czynie.

Krótki jest jeszcze okres istnienia owej delegacyi, ale długi już szereg jej gorzkich zawodów; dlatego też uważałem za największą jej zasługę to, że się nie zraża przeciwnościami. Za pośrednictwem tej nielicznej garstki, przybywającej na posiedzenia, usiłuje przekonać kobiety, że największą siłą jest praca solidarna i zrzeszona, że zabezpieczeniem bytu nie zawsze

jest małżeństwo, lecz chociażby jakakolwiek kasa przezorności. Kobiety słuchają tych wywodów, ale robią w dalszym ciągu swoje: Do cechu krawieckiego zapisało się przeszło 400 pracownic, ale żadna nie opłaca dobrowolnie składki członkowskiej do kasy zgromadzenia, bo każda z nich myśli o kasie małżeńskiej. Dlatego też niema tam ani gospodarki, ani wydziału pośrednictwa, pomimo, że wolno je stworzyć. Tymczasem pośrednictwo w wyszukiwaniu pracy chodzi drogami prywatnemi: posługuje się ludźmi znajomymi i życzliwymi, którzy bardzo często poty bywają tylko znajomymi i życzliwymi, póki się do nich nie zakołacze o pomoc. Jedyna zaś instytucya publiczna, która mogłaby w tej mierze być pomocną dla kobiet, Towarzystwo pracowników handlowych i przemysłowych — dotąd prawie jeszcze nie dla nich nie zrobiło. Dlaczego? — Bo najpierw stanęły na przeszkodzie owe charakterystyczne, wyluszczone powyżej cechy pracownic, następnie zaś zbyt jest mała liczba członków płci żeńskiej. Na 3,000 mężczyzn zapisało się do pomienionego Towarzystwa tylko 80 kobiet, podczas gdy ich tysiące pracują w magazynach, kantorach itd. Tak mała liczba uczestniczek w razie zażądania nie daje możności stosownego wyboru kandydatek, zwłaszcza że o ten wybór wogóle jest bardzo trudno. Za zasługę delegacyi uważam to, że usiłując wznieść gmach dobrobytu dla kobiet, przedewszystkiem myśli o fundamentach: przygotowaniu zawodowem do pracy. W tym celu rozwinęła swoje zabiegi około otworzenia różnych kursów praktycznych, dostępnych dla kobiet ubogich. Tak np. stworzono niedzielne kursy rysunkowe, na które uczęszcza 38 uczenic. Niektóre dostają już zamówienia kopij wzorów do tkanin tudzież rysunków z fabryk żelaznych, litografij itd. Obecnie delegacya usiłuje stworzyć specyalny kurs rachunkowości dla rękodzielniczek, które bardzo często nie posiadają nawet elementarnych podstaw w tym zakresie. Skutkiem tego pracownice płatne otrzymują liche wynagrodzenie; te zaś, które zdołały rozwinąć jaką taką pracę samodzielną, plączą się w rachunkach i nie mogąc dokładnie obliczyć kosztów roboty, tracą bardzo wiele.

I tym razem delegacya ze swojemi szlachetnemi usiłowaniami znajduje się w kłopotliwem położeniu. Kursy mogą powstać, ale nie będą miały... uczenic. Inicyatorki dziś już z tego zdają sobie sprawę i mówią o „propagandzie zachęty." Otóż czy nie byłoby właściwie przed otwarciem „kursów rachunkowości" stworzyć „kursy zachęty do rachunkowości," na których pracownicom wykładanoby takie prawdy: bez nóg nie można chodzić, bez języka mówić, bez oczu patrzeć, bez mózgu myśleć, bez arytmetyki liczyć, a więc bez chleba — żyć. Możeby taką drogą szlachetnym inicyatorkom udało się zebrać komplet na kursy rachunkowości, tj... 25 uczenic.

Może większem powodzeniem będą się cieszyły projektowane kursy dla dozorczyń chorych. Tego rodzaju specyalistki bardzo nam są potrzebne, nietylko w Warszawie, lecz całym kraju i niewątpliwie skoro się wykształcą, będą miały powodzenie i przyniosą wielki pożytek społeczeństwu. Wprawdzie istnieje w Warszawie pewne kółko kobiet (20 osób) pod nazwą „samarytanek." (Mają jedno ambulatoryum, drugie powstanie wkrótce). Odbyły one praktykę przy lekarzach, zajmują się szczepieniem ospy itd. Ale ta gromadka jest niedostateczna i wogóle nie odpowiada wszystkim potrzebom. Dobra więc jest myśl, ażeby uczestniczki delegacyi zapisywały się do Towarzystwa hygienicznego i pod jego skrzydłami przy pomocy kursów odpowiednich wykształciły szeregi dozorczyń.

Wreszcie delegacya zamierza stworzyć jeszcze jeden rodzaj nauki praktycznej: Kursy kroju dla szwaczek wysyłanych na wakacye. Są to przeważnie specyalistki jednej gałęzi („spódniczarki" lub „staniczarki") t. zw. podręczne z magazynów. Gdy więc nauczą się kroju, będą dla nich przystępniejsze wakacye. Doświadczenie wszakże przekonało, że szwaczki pragnące korzystać z „filantropijnych" wakacyj, powinny jeszcze więcej umieć. W r. z. jakaś „miłosierna" zamożna właścicielka ziemska przyjęła do siebie na letnie wytchnienie dwie szwaczki, ale ogromnie była oburzona, gdy te przyjechały w kapeluszach i sukniach i nie mogły pójść na pole jako żniwiarki. Warto więc dla kandydatek do wakacyj stworzyć jeszcze dodatkowe kursy żniwiarstwa i wogóle robót polnych, zaopatrzyć je w sierpy, grabie, widły i motyki, a niewątpliwie znajdzie się więcej „filantropek," przyjmujących chętnie szwaczki na letnie wytchnienie.

Bądź co bądź, delegacya pracy kobiet ma swoje zasługi, a jeżeli walka z zawodami i lotnym piaskiem nie rozproszy jej energii i dobrej woli, to z czasem może chociaż jakąś część kobiet nauczy ona pracować, a zarazem wpłynie na polepszenie warunków społecznych i materyalnych tych licznych rzesz, które dziś są narażone na nędzę i poniewierkę. Dopóki taka przemiana nie nastąpi, póty będzie cierpiała i ta grupa kobiet, która posiada uzdolnienie prawdziwe i umie pracować rzetelnie: póty zarobkodawcy, posługując się niepochlebną opinią o wartości pracy i uzdolnień szerokich rzesz niewieścich, we własnym interesie przykładać będą tę miarę i do lepszych, ażeby tym sposobem wydobyć z nich największą sumę energii kosztem najmniejszej sumy wynagrodzenia.

*Zenon Pietkiewicz.*

## ZIEMIA OBIECANA.

### IV.

Ale wrócimy do powieści. Karol Borowiecki „genialny" chemik-kolorysta, dyrektor największej w Łodzi manufaktury bawełnianej, stanowiącej własność Hermana Bucholca, postanawia do spółki ze swoimi przyjaciółmi, Morycem Weltem i Maksem Baumem, z których pierwszy ukończył wydział handlowy politechniki ryskiej, a drugi jedną z niemieckich szkół tkactwa i przędzalnictwa, założyć fabrykę. Mimo że Borowiecki jest katolickim szlachcicem polskim, stale, nawet podpisując, jako prokurent, firmę, używającym przed nazwiskiem okrasy „von," mimo że Moryc Welt jest Żydem typu kosmopolitycznego, tak sprytnym, że z Belzebubem dałby sobie radę, mimo wreszcie, że Maks Baum jest Niemcem, tyle tylko z krajem, w którym osiadł, mającym wspólnego, ile znajomość jego mowy o tem świadczyć może — mimo to wszystko, powiadam, przedstawiają oni materyał odpowiedni do zawarcia związku przemysłowego. Przedstawiają zaś taki materyał dlatego, że, popierwsze, wszystkich ich ożywia gorąca chęć zrobienia majątku, a powtóre, że są tęgimi zuchami w zakresie swojej specyalności: Borowiecki to wyjątkowo zdolny inżenier-chemik, Welt — to dzielna głowa kupiecka, kombinacye handlowe znakomicie snująca, wreszcie Baum — to wspaniały, wytrwały i systematyczny pracownik, na którym, niby na mocnym fundamencie, ma się głównie oprzeć płodny w pomysły fabrykacyjne Borowiecki, rzucający, jak rakiety, idee Weltowi, który im skrzydła podcina, ma ziemię ściąga i w uchwytne kształty geszeftu oblec usiłuje. A ponieważ pieniędzy, jak na takie przedsiębiorstwo, prawie że nie mają, więc autor, posiadający w swojej teczce dużo leków cudownych, ratuje ich z tego położenia trudnego pomysłem, nie tyle prawdopodobnym, ile pięknym.

Karol Borowiecki, oprócz cech już wymienionych, posiada, jako bohater, jeszcze i tę, że jest pięknym mężczyzną i takim zuchowatym lwem salonowym, na sam widok którego fabrykantowe łódzkie bez różnicy wyznań dostają omdlewających zawrotów miłosnych, a że mają być — zdaniem autora — niewiastami niezwykle namiętnemi, więc nieboraka poprostu zamęczają... Jedna z nich, Lucy Zukierowa, dyabeł nie kobieta, pożerana iście szatańską namiętnością, zabiera z sobą po przedstawieniu teatralnem Karola do swego pałacyku podmiejskiego, gdzie on całkiem niespodziewanie znajduje kopię depeszy cyfrowanej do Bucholca, donoszącej o zapadłem postanowieniu podniesienia cła na bawełnę amerykańską. Nic dziwnego, że wiadomość ta, którą się natychmiast podzielił ze swoimi wspólnikami, przyprawia wszystkich o radość szaloną. Wyszrubowawszy więc kredyt do najwyższego stopnia, zdecydowano wysłać niezwłocznie do Hamburga Welta po zakup bawełny w celu spekulacyjnym. Pomimo tej operacyi cudownej, której wątek — nie wiadomo dlaczego—jakoś niepostrzeżenie znika gdzieś w toku powieści, i pomimo trzydziestu tysięcy, jakie Karolowi oddaje do rozporządzenia jego narzeczona Anka, o przedsiębiorstwie zapomniano, a Karola tak dalece pochłaniają gruchanie i ciągłe schadzki z Lucy, że o konieczności budowania fabryki przypomniał sobie dopiero w drugiej połowie *drugiego* tomu. Widząc zbliżający się kres swego żywota powieściowego i doskonale pojmując, jakie to trudne zadanie na pozostałych kilkudziesięciu stronicach utworu dokazać wobec czytelników i świata cudów geniuszu przemysłowego, Borowiecki corychlej kończy budowę fabryki i — poświęciwszy ją z całą pompą — puszcza nareszcie w ruch przędzalnię. Ponieważ na zrobienie majątku drogą naturalną czasu już nie ma, bo go lekkoduch w romansach z fabrykantowemi zmarnował, więc go... Welt, któremu cała gospodarka Karola w niesmak poszła, usidla w matnię zwiększonego wkładu spółkowego. Gdy zaś Karol gwałtownie wezwany przez Lucy, czekającą w Berlinie na realne rozwiązanie idealnego romansowania, spieszy w jej objęcia — Welt postanawia złożyć fabrykę w ofierze płomieniom, chcąc w ten sposób wycofać z niepewnej lokacyi swoje kapitały, jakkolwiek poprzednio wkład swój po to jeno powiększył, aby wyrugowawszy wspólników, zagarnąć ją w swoje posiadanie wyłączne. Zawiadomiony telegraficznie o pożarze fabryki, Karol, oprzytomniawszy nareszcie, wraca ekstrapociągiem, zapóźno wszakże, gdyż ona już zgorzała, zabiwszy mu jednocześnie ojca. Na ostatnich kilku stronicach dokonywa się cud wielki, (chociaż nie ostatni jeszcze), czyli wskazanie najprostszej drogi do zrobienia majątku. Fabrykant Müller, posiadacz nietylko milionów, których się z niczego dorobił, lecz także córki o twarzy podobnej do „świeżo upieczonej bułki" i dla szyku psychologicznego także zakochanej w Borowieckim, zachwycony zaletami jego, jako kolorysty, szlachcica i samca, pragnie w tę ramę oprawić swoją Madę i proponuje mu tę kombinacyę, którą Borowiecki, pozbywszy się już zupełnie skrupułów co do Anki, przyjmuje. A ponieważ, jak mówi stary Szekspir, *all is well that ends well*, więc wkrótce odbył się ślub z Madą, a po nim objął Borowiecki zupełnie i niepodzielnie ster olbrzymiej fabryki, od której zarządu Müller się usunął.

Koło tej głównej osi powieściowej obraca się wielki karuzel, na którego ławkach, promieniami rozchodzących się, autor usadowił, sądząc z ról, jakie im kazał odegrać, swoje drugo i trzeciorzędne postacie, chociaż powinny one były raczej zająć stano-

wiska najprzedniejsze w utworze. Karuzel ten, szybko obracający się, daje czytelnikowi barwne, mniej lub więcej wypukłe sceny i obrazy, często dużem bogactwem kolorów mieniące się, ale szybko przemijające, a wszystkie luźne, słabo związane i tylko skutkiem takiego prędkiego obrotu złudzenie jednolitej całości przedstawiające, złudzenie nietrwałe i, jak mgła wiosenna, rozwiewające się.

Przyjrzyjmy się bliżej Karolowi Borowieckiemu, głównemu bohaterowi romansu, spełniającego misyę obywatolsko-ekonomiczną, a mającą na celu uszlachetnienie produkcyi łódzkiej.

Otóż pomijając już wysoce wadliwą budowę powieści, odznaczającą się niezwykłą nieproporcyonalnością swoich części składowych i zdumiewającym brakiem kardynalnych podstaw perspektywy powieściowej, autor wplótł w jej osnowę tezę ogólną, nieposiadającą wcale w życiu ekonomicznem i towarzysko-społecznem środowiska, którem utwór się zajmuje, najmniejszego podkładu rzeczowego. Innemi słowy, wysunął on na plan pierwszy i kazał odegrać rolę pierwszorzędną postaci, postawiwszy ją na piedestale działalności społecznej, jakkolwiek scena, na której ta postać się porusza, nietylko że warunków odpowiednich nie posiada, lecz — jak wykazaliśmy w poprzednich artykułach — przeciwnie, jest zupełnie, bajecznie obojętną i bodaj czy nie wrogą nawet tego rodzaju pracy. Popełniwszy ten błąd wielki, autor naraził powieść na cały szereg wad i usterek z nim w ścisłym i nieodłącznym stosunku znajdujących się. Skutkiem niezgodności, co więcej, sprzeczności między ideą i tendencyą utworu a formami i treścią życia, których odbiciem pragnął być, Borowiecki jest z natury rzeczy psychologicznie całkiem chybiony. Intuicyą i bezwiednem poczuciem prawdy artystycznej kierowany, wyposażył go Reymont w chciwe żeru kły i pazury, w potężne brutalnością swoją instynkty dorobkiewiczowskie, w egoizm bezwzględny i nieokiełznany, ideą, po powierzchni powieściowej pływającą wiedziony, przyodział go w szaty wielkiego działacza społecznego, szaty tak słabo sfastrygowane i licho upięte, że wciąż one z niego — mimo usiłowań autora — spadają. Jakby czując tę sprzeczność wewnętrzną, lata go on i pociąga co chwila pokostem ideowym, zapożyczonym z okresu wspaniałej u nas walki pozytywistycznej i jej bohaterów życiowych, ale ten pokost nie chce go się wcale trzymać i wciąż odeń kawałkami odskakuje. Wskutek ciągłej rozterki między istotnemi namiętnościami Borowieckiego a narzuconem mu posłannictwem na placówce, która całkiem przeszła w posiadanie obcych lub napół obcych żywiołów, dał nam Reymont w osobie swego bohatera postać wewnętrznie pogmatwaną, psychologicznie niejednolitą, jakąś nieuchwytną i zarazem dwulicową, gotową wygłaszać szumne, ale puste, fajerwerkowe, ale tanie frazesy, zupełnie wszakże niezdolną do czynu, do działania, do akcyi. I właśnie akcyi tej brak powieści, a brak jej dlatego, że Reymont sztucznie wprowadził ludzi do sfery, z którą oni nic wspólnego mieć nie mogą. Dał nam nie typy, lecz manekiny, poruszane dowolnie sprężynami techniki powieściowej, a nie psychologią i życiem. Borowiecki, Trawiński, Kurowski i Myszkowski — to istoty, pozbawione mięśni i nerwów, energii i żywotności, a życie swoje zawdzięczają jedynie eliksirowi, wstrzykiwanemu im obficie dla uratowania sytuacyi, gwałtem przeprowadzanej. Bo czyż to w gruncie rzeczy nie porządny niedołęga ten Borowiecki, który, według uroczystych zapowiedzi autora, cudów miał dokazywać w wielkiej fabryce Bucholca, a który — pomimo swego geniuszu — nie potrafił we własnej dojść do tak gwałtownie pożądanego majątku? Reymont wprawdzie ocala honor i reputacyę „genialnych" zdolności nigdzie w powieści nieokazanych, swego bohatera, ale w jaki sposób? W sposób, do którego ucieka się najzwyklejszy romans, nieroszczący żadnych pretensyj ogólnospołecznych: małżeństwem z córeczką Łyka milionowego, Madą Müllerówną. Ta Mada — to Reymontowski *Deus ex machina*, który, nawiasowo mówiąc, zbyt często w powieści oblicze swoje ukazuje. Chcąc zaś pod każdym względem dopełnić miary niekonsekwencyj, wypływających z nieprzystosowania typów malowanych do środowiska, w którem się one obracają, autor kończy obraz powodzenia Borowieckiego pospolitą sceną sentymentalno-melodramatyczną, niedopasowaną wcale do jego charakteru: każe mu rozczarować się do przejętych milionów i — za przykładem jego wyzyskanej i porzuconej narzeczonej, Anki — zakładać ochrony dziecięce.

Taką jest główna osnowa powieści.

A inne osoby? Zarówno Bucholc, były szef Borowieckiego, właściciel największej w Łodzi manufaktury bawełnianej, jak Mendelsohn, jego konkurent najpotężniejszy, ukazują się nam prawie wyłącznie ze strony humorystycznej. Są to stanowczo karykatury, źle i szablonowo pomyślane i jeszcze gorzej odtworzone, istoty, więcej dla ubawienia gawiedzi czytającej, niż dla studyów psychologiczno-społecznych po scenie spacerujące, w drobnych tylko szczegółach nieco realniej ujęte. Do udanych zaś sylwetek należą: Dawid Halpern, głuptas sentymentalny, wiecznie hymny radosne na cześć Łodzi i jej postępów ekonomicznych wyśpiewujący, nosobliwie elegii chodzącej, postać żywcem z bruku łódzkiego wyrwana; Stach Wilczek, łyk rodzimy, jak wyżeł łup węszący, jest w głównych rysach trafnie pochwycony; Leon Cohn, komiwojażer, tryska życiem, ale go autor niepotrzebnie zaraz porzuca i, zdaje się, na *Geschäftreise* puszcza; pychą wydęty i wiecznie nastroszony paw — fabrykantowa Endelmanowa, dowcipnie przez bankiera Grossglücka Maryą Teresą nazwana — przedstawia poprostu zdjęcie fotograficzne. Takich zdjęć, bardzo przejrzystych, jest w powieści kilka. Pomimo to wszakże „Ziemia obiecana" jest utworem zupełnie chybionym.

Nie dlatego jednak Reymontowi powieść się nie udała, że go nie stać na napisanie dobrej rzeczy, bo swą „Komedyantką," pełną talentu oryginalnego i temperamentu wspaniałego dowiódł, że potrafi on wydobywać z głębin życia nowe, dotychczas zupełnie nieznane, głęboko odczute i subtelnie pomyślane typy; nie dlatego też, żeby nie posiadał zmysłu psychologicznego, gdyż stworzeniem Janki odrazu zdobył sobie miejsce poczesne we współczesnej literaturze polskiej; lecz przedewszystkiem dlatego, że sferę i stosunki, których dotknął, powierzchownie i szablonowo pojął, że spojrzał na nie ze stanowiska zwykłego tylko dorobkiewiczostwa, że zamiast ogarnąć nowy świat i nowych ludzi szeroko rozwartem okiem głębokiego badacza-psychologa, zamiast jak Emil Zola w *L'argent*, zbadać gruntownie istotę i technikę robienia milionów na gruncie łódzkim, poznać we wszystkich szczegółach tajemnice fuszerki w wielkim stylu i sprężyny szwindlów tegoczesnych, zamiast śmiało i głęboko zapuścić sondę w zbrodnię niekaraną, w rozpustę tolerowaną, w łajdactwo na otwartej drodze popełniane, zamiast z głębi tego mrowiska osobliwego, jakie przedstawia Łódź, wyłowić najcharakterystyczniejsze typy łyków w ich najróżnorodniejszych odmianach pod względem psychologiczno-intelektualnym, narodowym i wyznaniowym, wyłącznie robieniem pieniędzy zajętych, dać wielki obraz stopniowego powstawania miasta, ludzi, ich wzrostu i przekształceń, jakim pod wpływem tego wzrostu ulegli, zamiast odtworzyć całokształt stosunków ekonomicznych, społecznych, etycznych, obyczajowych, towarzyskich i rodzinnych i rzucić na to wszystko olbrzymią smugę światła historyczno-socyologicznego — zamiast tego wszystkiego, powiadam, wolał on dać szereg obrazków mniej lub więcej barwnych, mniej lub więcej zabawnych, sztucznie na nić obcej temu światu i ludziom idei nanizanych, rodzaj kalejdoskopu tu i owdzie powyrywanych szkiców, tak szybko przesuwanych, że nie sposób na ich podstawie wytworzyć sobie jakikolwiek obraz ogólny. Szkoda!

Bo Łódź, z jej odrębnym układem stosunków, z jej namiętnościami krwiożerczemi i chorobliwą gorączkowością, z jej osobliwą anarchią życia i rozprzężeniem moralnem, z jej parweniuszostwem najlichszego gatunku, z jej indyferentyzmem, a nawet idyosynkrazyą wobec spraw ogólniejszej natury, z jej epiciersiwem myśli i filisterstwem uczuć, z jej kosmopolityzmem brutalnym, z jej pychą potworną, z jej wreszcie inteligencyą karyerowiczowską i tak do swego środowiska przystosowaną, społecznie bezczynną i na podrzędne wpływem swoim stanowisko zepchniętą, z jej młodzieżą przedwcześnie praktyczną i porywów idealniejszych oraz lotności umysłowej pozbawioną — to wielka i niewyczerpana skarbnica, z której literatura mogłaby wydobywać może nie ponętne i realizmem swoim odrażające, ale bądź co bądź nieznane u nas dotychczas obrazy. Duży i śmiały talent naturalistyczny, obdarzony zdolnością rozglądania się w rozległych widnokręgach, malowania instynktów drapieżnych i wyczuwania duchowości mas ludzkich — znalazłby w tych pokoleniach nowych, które u nas wystąpiły na widownię, całą kopalnię typów, idej, uczuć i obyczajów na szerokiem tle społeczno-satyrycznem.

*Maurycy Bodior.*

## Statystyka Galicyi.

II. *)

Przechodząc do statystki ekonomicznej Galicyi, uprzytomnijmy sobie dwie grupy cyfr. Według podziału miejscowości, rozpadała się Galicya w r. 1890 na 93 miasta z 848.741 mieszkańcami, 221 miasteczek z 581,843 m., gmin wiejskich 5,921 z 4,904,857 m. i 4,962 „obszarów dworskich" z 272,375 m. Kategorya ostatnia jest specyalnością czysto galicyjską, przeżytkiem z czasów pańszczyźnianych i obejmuje wielką własność ziemską z zatrudnionym u niej stale personelem. Tak się przedstawia ludność według swego rozmieszczenia; zaś według zawodu i sposobu zarobkowania: rolnictwo, leśnictwo i poboczne ich zajęcia zajmują razem 77,38% mieszkańców kraju, tj. 5,113,370 osób; z tego wypada na osoby samoistne 842,275, tj. 16,47%, jako urzędnicy i robotnicy pracuje 2,358,869 osób, tj. 46.02%, członkowie rodziny i domownicy bez własnego zarobkowania w liczbie 1,903,285, tj. 37,22%, służba domowa — 14,941, tj. 0,29%. Przemysł zatrudnia tylko 9,26% ludności, między tymi 91,508 (14,96%) osób samoistnych, 147,025 (24,03%) jako urzędników i robotników itd. Najbardziej jest rozwinięty górniczy i hutniczy (razem we wszystkich kategoryach pracodawców, robotników, rodzin ich itd.) 31,318 osób (0,47%), tkacki i przędzalniczy (razem) 27,669 osób (0,42%), a większe cyfry wykazuje tylko drzewny, krawiecki, wyrób napojów, przerób żelaza nie zajmuje 1%, wyrób maszyn ani 0,5%, przemysł chemiczny zaledwie 0,10 osób. Są to cyfry tak nizkie, że same one tłomaczą napół pierwotną budowę

*) Patrz nr. 5.

całego kraju. Handel i komunikacye zatrudniają 524,697 osób, tj. 7,94%, z czego przypada na towarowy 3,67, pieniężny, asekuracye itd. 0,09, komunikacye lądowe 1,11, komunikacye wodne 0,04% itd. Natomiast kwitnie biurokratyzm: sami urzędnicy obejmują 2,24% ludności.

Cyfry te przemówią w całej jaskrawości na tle porównawczem. Austrya wogóle pozostaje — jak wiadomo — znacznie w tyle po za innemi państwami zachodniemi w rozwoju przemysłu i handlu, w jej zaś obrębie zajmuje Galicya miejsce przedostatnie, przed Dalmacyą. Przeciętna ludności rolniczej wynosi w państwie 55,9%, w Galicyi—przeszło 77%; przeciętna przemysłu wynosi wogóle 25,8%, w Galicyi — 9,26% (Szląsk, Czechy, Voralberg, Austrya Dolna — wyżej 40%). Lecz nawet w obrębie tej produkcyi ludność galicyjska należy do najbardziej ekonomicznie upośledzonych: mówią o tem cyfry, wykazujące stosunek osób, pracujących samoistnie do zależnych, jako urzędnicy, robotnicy itd. Na całą Austryę wynosi w rolnictwie przeciętna pierwszych 23,7%, w Galicyi — 16.47, w przemyśle całej Austryi liczba samodzielnych 20,7, w Galicyi — niespełna 15; w handlu ogólno-austryackim 37,2, w galicyjskim — 12½%. Bardzo ważnym jest ów stosunek przy wszelkiego rodzaju zawodach „wyzwolonych.“ Liczba samoistnych urzędników wynosi w Austryi 15,4, w Galicyi 6,12%, innych osób (adwokatów, lekarzy itd.) w Austryi 43, w Galicyi 18%. Szczupła ta liczba ludzi samodzielnych wystarcza do wytłomaczenia między innemi wielu zjawisk moralnych, kwitnących w Galicyi bujnie, jak nigdzie, np. serwilizmu, upadku charakterów itd. (Cyfry porównawcze cytowane według *Handw. der Staatswiss., I Supl.*).

Co wobec tego smutnego stanu robi społeczeństwo?

Przyjrzyjmy się inicyatywie prywatnej, wyrażonej w samopomocy, w ruchu stowarzyszeń ekonomicznych. Stowarzyszeń rolniczych posiadała Galicya w 1881 r. 11, w 1895 — 1,006 („Kółka rolnicze“), stow. dla podniesienia i obrony przemysłu i handlu było w 1881 r. 9, w 1895 — 20, przemysłowych, fachowych w 1881 — 37, w 1895 117. Gdy rolnicze przedstawiają w państwie pozycyę procentową znaczną (blizko 24%), zajmują przemysłowe miejsce ostatnie (0.48 i 2,78%). W czasie 1881 — 95 wyrosła liczba spółek akcyjnych z 6 ledwie na 9 (0,21% odpowiednich stow. w Galicyi): kas oszczędności z 16 na 29, tow. pożyczkowych z 5 na 14, zaliczkowych z 146 na 407 (9,66%), oszczędnościowych i zakupu lasów z 6 na 17, innych ekonomicznych z 14 na 72. Tow. wzajemnych ubezpieczeń istnieją dwa (Krakowskie, a od r. 1893 ruski „Dniestr“), pensyjnych i zabezpieczenia na starość istniało w r. 1881 jedno, w 1895 — 7. Postęp więc jest, ale bardzo małoznaczny, tem bardziej, że imponujących liczbą „Kółek rolniczych“ przeceniać nie należy. Z wyjątkiem tow. zaliczkowych żadne inne korporacye nie stanowią nawet 1% liczby odnośnych stowarzyszeń w Austryi. Sfera inicyatywy prywatnej nie jest zbyt szeroka.

Brak przedsiębiorczości występuje rażąco także w tradycyjnem zajęciu ¾ ludności kraju, w rolnictwie. Galicya posiada 40,628 hektarów, czyli 4.47% swych gruntów w stanie nieużytków, gdy inne kraje, z wyjątkiem alpejskich, nie mają nieużytków ani 1%. Wogóle rolnicy galicyjscy wszelkiej kategoryi zbyt świetnie się nie mają. wielka własność (tabularna), która przoduje politycznie i chce zmonopolizować w swych rękach rozum, cnotę, przykład, nawet ziemi ojców ani intenzywnie uprawiać, ani utrzymać w rękach nie umie. Hipoteczne obciążenie wszelkiej własności w Galicyi rośnie przerażająco. Wielka własność obciążyła się w r. 1870 hipotecznie sumą 12 milionów (podaję cyfry okrągłe), spłaciła w tym roku 9, pozostało wraz z dawniejszem obciążeniem 124 mil. W r. 1894 obciążenie wynosiło 36 mil., spłata — 20, stan z końcem roku — 225 milionów, a długi hipoteczne nie obejmują wszystkich brzemion majątkowych. Stan obciążenia hipotecznego własności miejskiej wzrósł z 16 mil. przy końcu r. 1870 do 104 mil. w r. 1894, a w tym samym czasie wzrosło też obciążenie hipoteczne własności małej z 2 do 72 mil. Ogólne obciążenie własności nieruchomej wszelkiego rodzaju wzrosło w tym czasie z 144,650,549 do 403,590,657 złr. W r. 1884 wykazywało urzędowe oszacowanie własności nieruchomej kraju: wartość ziemi uprawnej 490 mil., wartość budynków wiejskich 152, miejskich — 163, razem 805 mil. Nie ulega wątpliwości, że oszacowanie to jest za nizkie, ale też wysokość odłużenia jest podana także zanadto nizko. Wniosek łatwy.

Mimo tego faktu nie wzrasta liczba licytacyj wielkiej własności zbyt masowo, co wynika nie ze zdolności ekonomicznych lub wzrastania renty, lecz ze spekulacyi politycznej, którą jest nabycie kapitałów przez sprzedaż prawa propinacyi. Rok 1885 6 stanowi punkt kulminacyjny w tabeli licytacyj, których w tym czasie zarządzono 125 i 141, w najbliższych latach liczba ta spada, w r. 1892 wynosi tylko 31, potem znowu podnosi się, pieniądze propinacyjne widocznie zjedzono, i w r. 1895 dochodzą znowu do cyfry 52, gdy liczba sum dłużnych nie ulega znaczniejszej zmianie. Świadczy to o bardzo wielkiej względności wierzycieli, szlacheckich instytucyj kredytowych itd. W liczbie wierzycieli, którzy w r. 1894 przeprowadzili 52 egzekucye, znajduje się 6 żydów, 8 chrześcian, a reszta — to wielkie krajowe instytucye finansowe. Natomiast wzrasta w przerażający sposób liczba licytacyj majątków włościańskich i małomiejskich. W r. 1873 dokonano 614 w 507 wypadkach na 621,535 złr. (z tych 75% za długi niżej 1,000 złr., zaś w r. 1894 — 2,507 w 2,493 wypadkach na sumę 4,001,748 złr., z pośród których 67% przypada na długi niżej 1,000 złr. Między licytowanymi znajduje się 74% chrześcian, a 26% żydów, zaś między licytującymi krajowe towarzystwa finansowe, 21% chrześcian i 36% żydów.

Dla podniesienia przemysłu, rzemiosł i handlu robi kraj usiłowania bardzo skromne, utrzymując szereg szkół zawodowych. W r. 1886 było 18 przemysłowych z 2,052 uczniami, w w 1895 — 78 i uczniów 6,275. Jest także 5 szkółek handlowych: liczba uczniów waha się około 285. Są to cyfry minimalne, którym też odpowiadają cyfry produkcyi. Podstawowe źródło wszelkiej produkcyi: górnictwo i hutnictwo wykazuje w r. 1895 następującą wartość w tysiącach guldenów: sól 8,449, ruda żelazna 1 (w r. 1887 — 62 tys.), żelazo lane 159, ruda ołowiana 157, cynkowa 60, cynk 415, węgiel brunatny 228, kamienny 1,338, nafta i wosk ziemny 6,747, kainit 22. Podnosi się powoli cukrownictwo (3 fabryki), a kwitnie wspaniale gorzelnictwo (w r. 1895 — 589, które wyprodukowały 74 mil. stopni hektolitrowych alkoholu).

Brak dobrych środków komunikacyjnych jest jednym z głównych powodów słabego rozwoju handlu i przemysłu. Na obszar 78,496 klm. kw. przypadała w r. 1878 sieć kolejowa długości 1,552 klm., czyli z ogółu kolei żelaznych austryackich na Galicyę 13%. W r. 1895 wynosiła sieć kolejowa 2,825 klm. długości, tj. 17% w stosunku do całej Austryi. Komunikacye wodne nie odgrywają wybitnej roli z powodu niesłychanego zaniedbania i braku kanałów: w r. 1895 przewieziono towarów w centnarach metrycznych: Wisłą 2,635.507, Dniestrem 1,907,045; najwięcej oczywiście drzewa. Drogi te wodne, należycie uregulowane, miałyby przed sobą wielką przyszłość.

Wszystkie te stosunki składają się na obraz nędzy, który w porównaniu z innemi prowincyami Austryi wypowie się następującymi szeregami cyfr:

Z ogółu kas oszczędności w Austryi przypada na Galicyę 5,80%. Liczba ich wzrasta tutaj bardzo powoli: w r. 1886 było 23 z sumą oszczędności 41 mil. złr., w r. 1895 28 z 73 mil. wkładów. Wiadomą jest rzeczą, że pieniądz kas oszczędności rzadko jest produkcyjnym, ale zawsze świadczy o stopniu zamożności. Otóż w Galicyi w r. 1893 przypada 1 kasa oszczędności na 250.274 mieszkańców, a w Austryi wogóle na 53,343. Na 1,000 mieszkańców wypada książeczek wkładowych: w Galicyi 25, w Austryi 110; przeciętny wkład w Galicyi 375, w Austryi 543 złr.

Widzimy stąd, jak szczupłą jest liczba „drobnych kapitalików“ — w porównaniu z ogółem Austryi. Ale bo też w kraju, którego większość ludności zależna jeszcze jest od typu gospodarki naturalnej, trudno niesłychanie o gotówkę. Odczuwa to dotkliwie skarb publiczny W r. 1897 wynosił ogół głównych dochodów skarbu państwa z Galicyi (z podatków bezpośrednich pośrednich, monopolów, należytości itd’ 67,033,440 złr., tj. 12,51% dochodów państwa. Jak zaś trudno ludności galicyjskie płacić nawet ten podatek, świadczy okoliczność, że dochody egzekucyjne i procenty zwłoki od podatków wynosiły w całej Austryi 1,170,000 złr., między temi z samej Galicyi 505,000, tj 43.16%. Jest to fakt wprost przerażający tem bardziej, że cyfra owa stanowi rezultat dopiero ostatnich czasów. Jeszcze w r. 1881 wykazywała 15%, a od tego czasu bezustannie dąży ku zwyżce.

Nędza ta daje się uczuwać tylko mieszkańcom kraju, a nie ciąży na państwie w tem znaczeniu, jakoby ono musiało łożyć z kieszeni innych prowincyj, jakoby Galicya była istotnie — wedle piosenki jej wrogów — krajem biernym, „narodem pasorzytów.“ Przeciwnie, w budżecie austryackim na r. 1897 figuruje Galicya dochodami do kasy państwa w kwocie 68,947,288, gdy wydatki na nią wynoszą 40,699,000 złr., czyli że biedny kraj przyczynia się sumą przeszło 28 mil. do wydatków ogólnopaństwowych, jak na wojsko, dyplomacyę itd. Cyfry powyższe zbyt ścisłemi nie są; w rzeczywistości przemawiają jeszcze silniej na korzyść Galicyi, szczególnie skoro się uwzględni, że przez blizko sto lat była ona rządzona systemem „gospodarki rabunkowej“ w najgorszem znaczeniu.

Wszystkie niedobory są uwieńczone największym, moralnym, przedstawionym w statystyce kryminalnej. W r. 1894 skazano w Galicyi za zbrodnie 7,249 osób, za przestępstwa 2,713: śród nich skazano za zbrodnie chrześcian 90,02, żydów 9,30%, za przestępstwa: chrześcian 78,29, żydów 20,94%. Między skazanymi za zbrodnie znajduje się analfabetów 82,36%. W stosunku do całej Austryi skazano w Galicyi za zbrodnie 24,62, za przestępstwa 38,85% osób!

Statystyka Galicyi — to obraz jej niedoborów.

*W. Feldman.*

## FEJLETON.

# LIBERUM VETO.

Dusze i duszyczki.

Znana anegdota opowiada, że gdy Alcybiades lękał się wystąpić z mową przed zgromadzeniem publicznem, Sokrates zapytał go: — Czy bałbyś się przemówić do szewca? — Nie. — A do

krawca? — Nie. — A do kupca? — Nie. A do właściciela winnicy? — Nie. — Więc czemuż cię oni trwożą, kiedy słuchają wszyscy razem?

Chociaż Sokrates rozumował logicznie, wyprowadził wniosek błędny. Masa bowiem żywych ludzi nie jest psychologicznie równa sumie składających ją jednostek, podobnie jak żywy człowiek nie jest tylko sumą swych cząstek. Zgromadzenie, przed którem miał mówić Alcybiades, było czemś więcej, niż: szewc + krawiec + kupiec + właściciel winnicy itd.

Wyobraźmy sobie, że Sokrates zadaje Alcybiadesowi inne pytania:

— Czy ty kochasz szewca Kritona?

— Nie.

— A krawca Aristobula?

— Nie.

— A kupca Leokratesa?

— Także nie.

— A właściciela winnicy Lizymachosa?—

— Nie.

— Prawdopodobnie nie kochasz również innych obywateli, których bym ci wymienił, z wyjątkiem może sześciu lub dziesięciu; więc powiedzże mi Alcybiadesie, dlaczego kochasz *cały* naród grecki?

Nie wiem, co by na to odrzekł Alcybiades, ale gdyby nawet zamilkł, nie należałoby mu się dziwić, gdyż zagadnienie to pozostało dotychczas ważnem a dla wielu ludzi trudnem. Rzeczywiście, jakim sposobem z sumy nienawiści lub obojętności powstaje miłość?

W tej chwili Francya podobna jest do owej wyspy, na którą jeden z sułtanów tureckich kazał wywozić nadmiar psów konstantynopolitańskich, ażeby na niej z głodu wzajemnie się pożarły. Wszyscy na siebie warczą, gryzą się, zniesławiają, obrzucają się takiem błotem, jakiego by może nie użył rozpuszczony kryminał, jest to prawdziwe Hobbesowskie *bellum omnium contra omnes*, a równocześnie każdy z walczących zapewnia, że — kocha swój naród.

Chociaż nie śród tak wściekłych wybuchów, ale w podobnej sprzeczności znajdujemy się codziennie sami. Jeżeli weźmiemy z własnego społeczeństwa rozmaite jednostki oddzielnie, przekonamy się, że ogromny ich procent nie budzi w nas żadnej sympatyi, przeciwnie — odrazę. Bo cóż my czujemy dla szachrajów handlu, dla opryszków spekulacyi, lichwiarzów, krętackich adwokatów, niesumiennych lekarzów, przekupnych urzędników, chciwych księży, obłudnych literatów, pustych i przewrotnych kobiet, złodziejów i rabusiów, wyślizgujących się sprawiedliwości, samolubów goniących tylko za własnym zyskiem itd. itd? W sercu naszem nie ma dla nich miejsca—a jest ich przecie legion! Po za tym legionem stoi masa istot zupełnie nam obojętnych. I gdyby każdemu z nas kazano wybrać wszystkie osoby, które rzeczywiście lubimy, najszczęśliwszy nie doliczyłby się setki. A przecież kochamy *cały* naród. Czy ta miłość nie jest grubem złudzeniem, pustym frazesem, którego nikt nie odczuwa, choć wszyscy ciągle powtarzają? Nie—jest ona prawdziwym faktem. Tajemnica tego dziwnego objawu spoczywa właśnie w owej przewyżce, którą otrzymujemy po dodaniu wszystkich jednostek danego społeczeństwa i która sprawia, iż ono jest czemś więcej, niż ich sumą.

Może to będzie wyjaśnienie nie dość ścisłe, ale za to będzie zrozumiałe, gdy powiemy, że w każdej grupie społecznie uorganizowanej i historycznie rozwiniętej tkwi pewna dusza, żyje pewien rozum, wola, uczucie, pamięć, sumienie i inne władze umysłowe. Atomy tych pierwiastków psychicznych, tej duszy, znajdują się niewątpliwie w każdym osobniku gromady, ale zwykle tak nieliczne, tak niezwiązane z całą masą duchową ogółu, tak roztopione w myślach i pragnieniach egoistycznych, że trudno je dostrzedz i oznaczyć. Jeżeli z mózgu człowieka wyłączymy pojedynczą komórkę lub drobinę chemiczną, nie rozpoznamy w niej cząstki jego funkcyj i gotowi jesteśmy przypuścić, że ona w nich nie przyjmuje czynnego udziału. Podobnie jeśli ze społeczeństwa wyłączymy jednostkę osobniczą, wyda nam się, że ona jest ustrojem oderwanym i ze zbiorowym spaja się tylko przez swą od niego zależność. Tymczasem w obu wypadkach mamy ułamek całości, który jest z nią zrosły organicznie. Stosunek ten tłomaczy nam podniesioną wyżej sprzeczność: dlaczego nie lubiąc pojedynczych ludzi, kochamy naród? Kochamy bowiem nie materyalne zbiorowisko pewnej ilości ciał, ale wspólną ich duszę.

Słusznie ktoś zauważyć może, iż ta dusza rozmaitym osobnikom przedstawia się odmiennie, że zatem one mają różne przedmioty miłości. Do pewnego stopnia tak jest. Szlachcic kocha swój naród jako wcielenie swych ideałów stanowych, fanatyk wyznaniowy — jako upostaciowanie swych wierzeń religijnych, liberał — jako organizm rozwijający się w kierunku swobody itd. Ale każdy z tych typów nietylko wierzy, że jego społeczeństwo zawiera pierwiastki pożądane, lecz rzeczywiście je w niem znajduje. Każdy z macierzystego łona wziął mniej lub więcej kropli krwi, które go czynią jego dzieckiem i które on w niem miłuje. Gdybyśmy między nami osadzili górala tybetańskiego, człowieka, któryby ani rasą, ani tradycyą, ani religią, ani upodobaniami i celami życia nie był w żadnem z nami powinowactwie, nie czułby on najsłabszej sympatyi do naszego społeczeństwa. Natomiast spotykamy nieraz około siebie rodzimych oryginałów, jednostki tak niepodobne do swego otoczenia i poważnione z niem, że pozornie wobec niego wilk powinienby uznać się bardziej swojskim, a mimo to szczerze przywiązane do narodu. One są obojętne, nie lubią lub nienawidzą Pawła, Jana lub Wincentego jako odrębny, mały świat, z którego nie przeświecają ich ideały, ale ich serce drga do tych Pawłów, Janów i Wincentych, gdy oni się stopią w łączną całość, w świat wielki, który bije pożądanem tętnem. Walka też stronnictw i żywiołów społecznych nie jest ścieraniem się jednych, które mają oparcie w narodzie, z drugiemi, które nie mają żadnego, lecz usiłowaniem rozszerzenia tego oparcia.

Naturalnie będzie to zawsze walka o idee, zasady, cele i wpływy. Prowadziliśmy ją ciągle i prowadzimy dotąd. Na nieszczęście w ostatnich czasach ustępuje ona miejsca zwykłemu boksowaniu. Zarzucano t. zw. „młodej prasie“ i „pozytywistom,“ że oni swym wystąpieniem polemicznym nadawali charakter gwałtownych ataków osobistych. Prawda, ale w tych potyczkach szło zawsze o sprawy ogólniejsze. Gdy liberał warszawski z owej epoki rzucał się na jakiegoś konserwatystę lub odpierał jego ciosy, gdy go nawet niemiłosiernie kaleczył, obalał i skalpował, czynił on to wszystko dla ukochanej przez niego idei, a nie dla opróżnienia komuś kieszeni lub odebrania mu chleba. Były to bójki gorliwych, zapamiętałych wyznawców pod murami świątyń własnych lub cudzych, były to zapasy o bogów, ołtarze, zakony—o duszę narodu. Cóż dziś? Taka walka rozgrywa się rzadko, natomiast bardzo często: Paweł wydrwiwa szerokie lub wązkie spodnie Jana, Wincenty przerzuca kamienie do ogrodu Piotra, a najzajadlej Gaweł drze się z Mikołajem o zwierzynę, do której obaj się czają i chcieliby upolować dla siebie. O ile te zapasy toczą się w prasie, mają prawie wyłącznie na celu ów pożądany i rozdzierany kawał mięsa, który się nazywa prenumeratą. Ten jakimś szczęśliwym fortelem urwał jej więcej, tamten czuje się pokrzywdzonym, a właściwie nienasyconym, przeto stara się odebrać zdobycz kpiną, skargą lub oszczerstwem. Nieraz zdaje się, że pisma peryodyczne są stadem głodnego drobiu, którego pojedyncze sztuki pragnąc jak najwięcej pochwycić ziaren, rzucanych im przez gospodynię-publiczność, dziobią się, drapią i wzajemnie odpędzają. I również zdaje się, że ta uśmiechnięta lub zniecierpliwiona gospodyni woła: nie kłóćcie się, każde dostanie swoją porcyę. Daremne przestrogi i napomnienia. Pismo, które wpadło na jakiś koncept wydawniczy i ściągnęło liczny zastęp abonentów, jest przedmiotem nienawiści wszystkich, które nie zdobyły się na żaden skuteczny pomysł i muszą zazdrośnie połykać ślinę. Ilość dawanych za pewną cenę głosek i papieru, format, kaliber czcionek, a zwłaszcza dodatki —oto są przedmioty i sztandary wojny. Ponieważ zaś występowanie pod takim sztandarem nie jest dość zaszczytne, więc go się przystraja kokardą z barw dobra społecznego. Rota Pawła nie może przecież atakować otwarcie roty Gawła za to, że ta gotuje w swym kotle obozowym większy kawał mięsa; więc się ją ostrzeliwa za to, że mięso jest nieuczciwie nabyte. Redaktorowie i literaci stali się famulusami wydawców. Niejeden artykuł polemiczny, nadziany wielką dbałością o dobro społeczne, przypomina ową scenę z opery, kiedy Don Juan, ubrawszy Leporella w swój płaszcz i kapelusz, śpiewa za jego plecami czułą serenadę pod balkonem zwiedzionej kochanki, która w ciemności bierze sługę za pana. Z waśni interesów, z częstych wojen o kieszeń, o ziarno, o mięso, wytwarzają się niechęci i nienawiści osobiste, a te już nie uważają jednostek za cząstki ogółu, który kochać i szanować należy, ale za odrębne od niej całostki, które wszelkiemi siłami zwalczać trzeba. W tym jarmarcznym harmidrze ginie dusza narodu, rozbita jak wielkie zwierciadło na kawałki, w których odbijają się tylko drobniutkie duszyczki — samolubstwa osobników. Nie należy ze swego serca robić gałki ruletowej, która kręcąc się w ograniczonem kole, ma wygrać pomnożoną stawkę jednostkowego losu, ani ze swego umysłu świeczki dla rozpoznania przy jej mdłym blasku własnej korzyści, lecz trzeba być cząstką ziemi, obracającej się w wielkiem kole i promieniem świecącego nad nią słońca.

*Poseł Prawdy.*

## BADANIA NAUKOWE

### HISTORYA.

Aleksander Hirschberg: *Dymitr Samozwaniec* (z ilustracyami). Lwów. Nakład Gubrynowicza i Schmidta str. IX i 294.

Nietylko w historyi Rosyi i Słowiańszczyzny, lecz w dziejach powszechnych postać Dymitra Samozwańca należy do najciekawszych, najbardziej zagadkowych. Tajemniczość pochodzenia, nagłe wywyższenie się na tron jednego z mocarstw już i wówczas zdumiewającego nieobjętymi obszarami swych posiadłości, śmiałe i daleko sięgające plany zaimprowizowanego młodego samodzierżcy, w końcu jego zgon tragiczny, okrywający osobistych jego nieprzyjaciół głębokim cieniem wstrętnej i oburzającej zdrady — wszystko to razem po dziśdzień pociągać ku sobie nie przestało uwagi historyków, psychologów, poetów, romansopisarzy. Literatura tego przedmiotu, zarówno w Rosyi, jak na zachodzie Europy, jest olbrzymią. Epopea fałszywego syna Iwana Groźnego urosła szczególnie od czasu, jak ks. Pierling, autor głośnego dzieła: „Roma et Démétrius,“ oparty na nietkniętych prawie dotąd źródłach archiwum wa-

tykańskiego, jął sypać dowody za dowodami, że ów mniemany Samozwaniec, którego Wasil Szujski i bojarowie, po jego zamordowaniu, ogłosić kazali za nikczemnego przeniewiercę, podłego czerńca Griszkę Otrepjewa — był rzeczywiście ostatnim potomkiem Rurykowiczów, prawym dziedziecem korony Monomacha i Jana Kalety, synem Groźnego z ostatniej jego żony, Maryi Uagaj, zamkniętej przez Borysa Godunowa do klasztoru pod imieniem Marty. Dymitra ocalił w dzieciństwie jego piastun, bojarzyn Bohdan Bielski, któremu Iwan Groźny, przed swoim zgonem, dziecko powierzył.

W gruncie rzeczy ks. Pierling żadnego odkrycia nie zrobił. O ocaleniu Dymitra wiedzieli i niemal jednomyślnie świadczyli wszyscy cudzoziemcy, bezpie wówczas w Moskwie bawiący, a zajmujący tam przy dworze stanowiska pierwszorzędne, jak Konrad Bussow („Relatio," w „Rerum russicarum scriptorum externi"), Hieronim Horsey („Beschreibung des Grossfürstenthums Moscaw," Lipsk, 1629) lub powszechnie znany dowódca przybocznej straży Godunowa. Jakób Margert („Estat de l Empire de Russie et Grand Duché de Moscovie," Bruksella, 1821). W aktach urzędowych, ogłoszonych w Rosyi, w dokumentach przechowanych w skarbcach państwa („Sobranje gosud. gramot"). znajdują się również wskazówki niemylne, wyzbierane przez Karamzina, Sołowjewa, Kostomarowa, Iłowajskiego, Bestużewa - Riumina, a dowodzące, że Dymitr, rzekomy Samozwaniec, nie był Otrepjewem, że zarówno Godunow, w chwili zjawienia się Dymitra, jak i Szujski, po jego zamordowaniu, chwytali się na razie cienia Otrepjewa jedynie dlatego, że nic innego nie mieli pod ręką, później zaś. w instrukcyach poselskich i listach międzynarodowych opowiadali, iż fałszywy Dymitr był Polakiem, wychowanym w Polsce, który przed swojem wystąpieniem w roli carewicza i pretendenta do korony przebywał czas dłuższy w rozmaitych stronach państwa moskiewskiego dla dokładnego obznajomienia się ze stanem kraju i wyuczenia się języka miejscowego. Co zaś do owego Griszki Otrepjewa, wiadomo najdokładniej, że domniemany Samozwaniec Dymitr znał go dobrze i po swojem wstąpieniu na tron zniewolony był wysłać go na wygnanie do Jarosławla z powodu jego opilstwa. W Jarosławlu, jak świadczy Margeret (str. 157) i Bussow (str. 19), znajdowała się wówczas filia angielskiej kompanii handlowej, przed którą Griszka Otrepjew najuroczyściej zeznał, już po zabiciu „Samozwańca" i wyborze Wasila Szujskiego na cara, że „rzeczony Demetrius był prawdziwym synem cesarza Joannesa Basiliusa (Groźnego) i że on, Otrepjew, służył Demetriusowi za przewodnika przy wyprowadzeniu go z granic państwa moskiewskiego... Bądź co bądź, wszystkim tym napomknieniom luźnym lub zaćmionym ks. Pierling, ogłaszając relacye watykańskie i listy samego Dymitra w odwzorach fotograficznych, nadał znamię i wypukłość — już nie prawdopodobieństwa, lecz prawie oczywistości faktycznej, namacalnej. A nie trzeba zapominać, że dowody przytoczone przez ks. Pierlinga stanowią dotąd zaledwie drobną cząstkę materyałów, spoczywających w mroku przeszłości i kurzu archiwalnym.

Historyografia polska w nader tylko drobnej, skąpej mierze przyczyniła się po dzisdzień do wyświetlenia tej kwestyi. A przecież nie ulega najmniejszej wątpliwości, że fałszywego czy prawdziwego Dymitra prowadzili na tron Polacy, że mu przytułek, po ucieczce z Moskwy, dali Wiszniowieccy i Mniszchowie, że go najwięcej i jak się zdaje w zupełnie dobrej wierze popierał nuncyusz stolicy Apostolskiej w Polsce, Rangoni, że pierwszy list do papieża z d. 24 kwietnia 1604 r. Samozwaniec ów przybrany, czy też Dymitr rzetelny, skreślił w Krakowie z wiedzą i z upoważnienia Zygmunta III, że w wyprawie jego do Moskwy, a następnie w orszaku jego żony, Maryny Mniszchówny (poślubionej w Krakowie d. 22 listopada 1605, w obecności króla, w imieniu monarchy moskiewskiego, przez jego kanclerza Własjewa), brali udział dygnitarze, kapłani, członkowie najznakomitszych rodzin polskich, i wreszcie, że okrom notat i listów prywatnych z tej doby, nasze biblioteki i zbiory posiadają relacye i „dyaryusze" osób, które w wypadkach zajmowały stanowiska urzędowe, były naocznymi ich świadkami i poniekąd twórcami, promotorami... P. Aleksander Hirschberg, docent historyi polskiej w uniwersytecie lwowskim, autor kilku dzieł i rozpraw naukowych (o „Hieronimie Łaskim," o „przymierzu z Francyą z r. 1500" itd.) dość skrzętnie i pracowicie skorzystał w nowej swej książce z polskich owych przyczynków (niezmiernie dziś rozproszonych) do dziejów Samozwańca. W ciągu kilkoletnich poszukiwań zdążył on zgromadzić spory zasób materyałów dotąd zupełnienie nieznanych, a w ich rzędzie szereg świadectw niepospolitej doniosłości. Z obszerniejszych źródeł zasługuje przedewszystkiem na uwagę „Dyaryusz" Stanisława Niemojewskiego, którego rękopis współczesny (tj. skreślony około r. 1609) nabył niedawno od rodziny Mniszchów zakład narodowy imienia Ossolińskich we Lwowie. Niemojewski w r. 1606 udał się był razem z Maryną Mniszchówną do Moskwy z polecenia królewny szwedzkiej Anny, siostry Zygmunta III, która dowiedziawszy się o zamiłowaniu młodego cara do zbierania rozmaitego rodzaju kosztowności, powierzyła mu część swoich klejnotów do zbycia. W tym charakterze i jako podstoli korony doznał on na dworze moskiewskim jak najlepszego przyjęcia, uczestniczył nietylko we wszystkich uroczystościach weselnych, ale z samym Dymitrem nieraz i bardzo poufale rozmawiał. Po zamordowaniu rzekomego samozwańca i wstąpieniu na tron Wasila Szujskiego, wysłano Niemojewskiego, razem z innymi, na wygnanie do Rostowa, następnie nad Białe-Jezioro; tutaj też zaczął opracowywać swe sprawozdanie, które się zachowało dotąd w dwóch, co do objętości znacznie się różniących redakcyach, z których pierwsza, wcześniejsza nieco i zwięźlejsza, znajduje się w jednej z prywatnych bibliotek wileńskich, a odpis z niej autor zawdzięcza „uprzejmości prof. Stan. Ptaszyckiego" z Petersburga, redakcya druga, późniejsza nieco, tem się odznacza, że Niemojewski korzystał w niej z opowiadań bawiącego z nim razem na wygnaniu Stanisława Słońskiego, jednego z najzaufańszych sekretarzy Dymitra. Oprócz tego p. Aleksander Hirschberg miał pod ręką całość dyaryusza Marcina Stadnickiego, ochmistrza dworu Maryny, z którego to dyaryusza mała tylko cząstka ogłoszoną została w „Monumentach" Turgeniewa.

(D. n.).

*Turn.*

## BARBARZYŃSTWO W EUROPIE.

A. Conrady: *Geschichte der Clanverfassung.* Lipsk u Dunchera i Humblota.

Poszukujemy objawów dzikości w krajach zamorskich, ale nie wiemy, iż jeszcze przed dwoma wiekami nasza część świata obfitowała w fakty, godne barbarzyńców ludu amerykańskiego lub wyspiarzy z archipelagów Oceanu Spokojnego. Nie brakło tam nagości ciała, ani nawet ludożerstwa. Co więcej, szczątki czasów prastarych dochowały się jeszcze niemal do dnia dzisiejszego. Przed laty czterdziestu w pewnych okolicach Irlandyi istniał zorganizowany kult pogański Isachemowie. W rocznikach zaś paryskiego Towarzystwa Antropologicznego przed paru laty ukazał się opis dwóch klanów z właściwą im organizacyą, istniejących w pewnym zakątku Bretanii.

Szczep celtycki, nielubiący wędrówek, siedzący na ziemi ojców swoich i zwolna zalewany przez fale germańskie, dostarcza największej liczby przykładów barbarzyństwa. które przetrwało do okresu kapitalizmu, podważającego je i wreszcie niszczącego rozwojem sieci komunikacyjnej. Barbarzyńcy w ciągu niespełna półtora wieku zamienili się na członków cywilizacyi, niczem nieodróżniających się od reszty. Fakt to nietylko ciekawy, lecz także doniosły, pokazujący całą zdawkowość tego spoglądania z góry na zamorskich barbarzyńców, jako szczepy, niezdolne wznieść się na wyższy szczebel rozwoju i upośledzone co do swoich uzdolnień umysłowych. A. Wallace, współzawodnik Darwina, przewyższający go polotem wyobraźni, zrobił ciekawą uwagę, iż ludy pierwotne posiadają mózg za wielki w stosunku do wymagań ich życia społecznego. W każdym razie różnica umysłowa nie jest tak wielką, istnieje ona natomiast w sferze emocyonalnej, takiej, jak zdolność powściągania uczuć swoich i tamowania namiętności. jak umiejętność długiej a systematycznej pracy.

Widok takiej kultury barbarzyńskiej przedstawiały góry Szkocyi jeszcze przed półtora wiekami. Równiacy uważali ich mieszkańców za dzikich i zresztą prawie nie znali, bo niemal nie byli tam wpuszczani. Mieszkańcy równin wiedzieli tylko tyle, iż tam na krańcach wyspy wśród dzikszych gór i większych jezior, niż ich własne, przebywały plemiona, noszące nazwę klanów, z których każdy znajdował się pod zwierzchnictwem własnego wodza, nosił osobliwą odzież, mówił niezrozumiałym językiem i nawet podczas najcodzienniejszych i najbardziej pokojowych zajęć miał przy sobie oręż. Hrabstwa południowe widywały okazy tej rasy, gdy pędziły na targi trzody, jedyny towar swego kraju — w pledach, pasie i łapciach drewnianych. Prowadzili oni swoje woły z miną dostojną i poważną, z jaką Wergilinsz musiał rozrzucać po polu swojem gnój."

Ludzie ci, znani tylko z takich krótkich wizyt, oraz ze swoich rozbojów, niewpuszczający do siebie równiaków, żyli w ustroju rodowym, tj. opartym na pokrewieństwie krwi. Klan każdy mieszkał zwartą przestrzenią, krewniacy przy krewniakach, imiennicy przy imiennikach. Ogniskiem jego życia gromadnego był gród seniora, tj. przedstawiciela najstarszej linii w klanie, którego Anglicy, nieznający istoty ustroju rodowego, przyrównali do lordów swoich, przekształcając zarazem resztę członków klanu na czynszowników i poddanych. Seniorowi niszczano daniny, z których ten powinien był zaspakajać wszystkie potrzeby dworu swego i rządu klanowego, oraz pomagać współrodakom, nie były to więc obowiązki pańszczyźniane, lecz raczej podatki. Miał on przy sobie radę starszych klanu, nadto cały ogół klanowców mógł w pewnych wypadkach głos zabierać. Pod zarządem seniora znajdowała się ziemia rodowa, o ile była pokryta lasami lub służyła za paśniki, a jednocześnie nie była zużytkowana przez pojedyncze wioski.

Klanowcy żyli, rozproszeni w niewielkich wioskach, w których corocznie dzielili pomiędzy sobą grunta orne, na zasadach własności gminnej. Paśniki zaś były wspólne. Co więcej i w zastosowaniu do gruntów w pewnych punktach obowiązywała zasada komunistyczna: po paru sąsiadów łączyło się w spółki, które razem uprawiały pole, pospołu z niego zbierały produkty i dopiero nimi się dzieliły. Wygon bydła,

najem rzemieślników wioskowych były sprawami wspólnemi, a kowal lub pasterz przedstawiali tylko urzędników wioskowych.

Tak wygląda ustawa klanowa w wieku osiemnastym. W dalszej przeszłości, bo w okresie przyjmowania chrześciaństwa przez te okolice, posiadała ona kształty jeszcze pierwotniejsze, bo opierała się na prawie macierzyńskiem, na wielkich zadrugach, gdzie grupa gospodarujących braci miała żony swoje do spółki, wreszcie może na totemach zwierzęcych, wytatuowanych na ciele. O wiek zaś później, tj. ku schyłkowi przeszłego stulecia, klany należą już do przeszłości: seniorowie, korzystając z przemiany swego stanowiska na postać urządzeń feodalnych, współklanowców traktują jako poddanych i czynszowników, zaczynają podnosić daniny, w końcu wyrzucają z ziemi, która przecież była ziemią ich krewników, siedzących w kurnych chatach wiejskich.

Książka A. Conradyego daje nam właśnie obraz tych kolejnych zmian ustawy klanowej, oraz jej ostatecznego upadku. Nie zatrzymalibyśmy się nad tym nowym przyczynkiem do dziejów rozwoju stosunków społecznych, gdyby nie jedna okoliczność, mianowicie rażące podobieństwo do organizacyj herbownych naszej szlachty za Piastów. Szlachcic nie był wtedy u nas wyłącznym panem swego majątku, do niego każdej chwili mógł się zgłosić krewniaczek i zażądać przypuszczenia do wspólności w posiadaniu. Zresztą nie dzielono majątków, rodziny siedziały w sposób pogański pod jednym dachem, a przynajmniej na jednym niepodzielonym kawale ziemi, gospodarowały i zbierały społnie. Dopiero statut Wiślicki nakazuje podziały i wyznacza zasadę. Wojacy szli do boju w szyku herbowym, tj. ludzie tego samego herbu trzymali się w gromadzie dokoła seniora, który był ich naturalnym, urodzonym wodzem. Herby miały swoje zawołanie, w tej liczbie zwierzęce. Niema dla mnie żadnej wątpliwości, iż takie bractwa, jak Odrowążowie, Ślepowronowie, Junosze, Zarębowie, Nałęczowie wyszli z organizacyj pokrewnych klanom. Historycy, zajmujący się studyami nad pierwotnym okresem dziejów naszych, nie posiadają najmniejszego wykształcenia porównawczo-socyologicznego. Dopiero w ostatnich czasach dały się widzieć pewne próby w tym kierunku, ale pospolicie bardzo powierzchowne, polegające na przeczytaniu jednej lub paru książek uogólniających. A tymczasem właśnie wyczerpująca znajomość takiej przeszłości barbarzyńskiej, zastosowana do naszego kraju, mniemam, wydałaby owoce bardzo dodatnie, bo przedewszystkiem rozszerzyłaby widnokręgi badacza, pozwoliłaby mu zrozumieć istotne znaczenie wielu zwyczajów, będących u nas już przeżytkami, i dałaby możność przeprowadzenia zestawień i porównań, które niewątpliwie rzuciłyby nowe światło na tę lub inną stronę dziejów. I na razie dla historyka, poświęcającego się tej epoce dziejów naszych, znajomość socyologii etnologicznej przydałaby się więcej niż studya nad jakąś numizmatyką lub umiejętnością odcyfrowania rękopisów. Nagromadził się materyał może szczupły, ale swoją drogą dość liczny, pozwalający, a nawet domagający się zastosowania do niego rezultatów, zdobytych przez socyologię porównawczą. I taki punkt widzenia nietylko rzuciłby nowe światło na naszą przeszłość, ale nadto podsunąłby nowe metody badania, o których nie ma nawet wzmianki, a które niezaprzeczenie przyniosłyby pożytek. Historycy nasi pracują oddzieleni murem chińskim właśnie od tych zdobyczy, które w sposób jaknajdodatniejszy zdołałyby zapłodnić ich myśl i wyobraźnię i dać im do ręki subtelniejsze narzędzia studyów.

W.

## LITERATURA I SZTUKA.

# ROZWÓJ LITERACKI.

Teodor Wyzewa jest jednym z najsłynniejszych krytyków współczesnych Francyi. Jest to umysł nietylko nador oczytany, ale, co ważniejsza, oryginalny. Żałować tylko należy, iż uległ ostatnimi czasy w zupełności wpływowi francuskiego impresyonizmu, goniącego tylko za chwilowymi przebłyskami piękna, gdy na początku swej karyery dawał dowody myśli twórczej, uogólniającej, która pozwalała rościć wielkie nadzieje. W jednym z ostatnich swych zbiorków krytycznych, zatytułowanym „Nos maitres.“ Wyzewa ogłasza, w tonie bałwochwalczym, France'a za niedoścignionego mistrza. Otóż wielka szkoda, iż autor dał się uwieść głosowi tej lekkomyślnej syreny, gdyż w tym samym zbiorze znajdujemy rozprawę oryginalną o rozwoju literatury i sztuki, która świadczy o takiej sile myśli, na jaką France'a bez wątpienia nie stać. Jest to wprawdzie tylko zarodek teoryi, ale godny uwagi. Pierwszą formą życia duchowego—powiada autor—jest wrażenie i dlatego pierwszą formą sztuki, odtwarzającej tylko życie, jest sztuka plastyczna, malarstwo, rzeźba. Ale wrażenia, często powtarzane, pozostawiają w duszy ślady, tak związane z sobą, iż każdy z nich wywołuje inne. Tak powstały grupy *pojęć* oderwanych, utwierdzonych w pamięci za pomocą *słów* i myśl, sąd, rozumowanie, będące tylko powiązaniem logicznem wrażeń, czyli ich śladów abstrakcyjnych.

Malarstwo jest sztuką wrażeń wzrokowych, utwierdzonych za pomocą linij i barw, literatura jest sztuką pojęć, utwierdzonych za pomocą słów.

Literatura podlegała w swym rozwoju działaniu praw następujących:

1) Przechodziła stopniowo od stanów prostych, stosunkowo jednorodnych, do złożonych i różnorodnych. Pojęcia, nieliczne początkowo i niejasne, różniczkują się stopniowo, wyodrębniają i rozmnażają. Odbijają one coraz to subtelniejsze czynniki życia. Podobieństwa wrażeń zmniejszają się, różnice zaś coraz lepiej są spostrzegane w miarę tego, jak wrażenia te, się powtarzają. Z czasem wyrazy ogólne w rodzaju „małżeństwa, walki“ nie wystarczają dla odtworzenia życia; wymaga ono pojęć bardziej szczegółowszych. Sztuka zbiera przedmioty coraz mniej rozległe i dobywa z nich odcienia coraz bardziej szczegółowe.

2) Następnie umysł ludzki spostrzega, iż zjawiska powtarzają się w porządku stałym i koniecznym. W ten sposób rodzi się pojęcie możebności, czyli rzeczywistości i niemożebności, czyli nadnaturalności. Rozróżnienie to, które w pierwszych fazach rozwoju nie istnieje, wżera się następnie w umysły i pozostawia swój ślad w literaturze. Zjawiska stają się niezrozumiałemi, o ile nie podlegają prawom i sztuka traci swą potęgę dawniejszą nadawania pozorów życia zjawiskom nadprzyrodzonym. Legendy i mity zanikają. Mogą one ponownie wystąpić w sztuce doskonalszej, ale już tylko jako symbole: służą dla odtworzenia — w braku środków prostszych — pewnych subtelnych odcieni życia duchowego.

A ponieważ poczucia tego, co jest rzeczywiste w odróżnieniu od cudownego, coraz bardziej się rozwija, sztuka wyrzeka się z czasem odtwarzania nawet zjawisk rzadkich: w ten sposób z literatury znikają nietylko czyny cudowne, ale nawet przygody szczególne i dąży ona z siłą niepowstrzymaną do analizy zupełnej i szczegółowej zjawisk jaknajbardziej pospolitych.

3) Następne prawo ewolucyi literackiej na tem polega, iż znaki używane dla odtworzenia życia, stają się coraz prostszemi, w miarę tego, jak samo życie i pojęcia, na niem oparte, stają się coraz bardziej złożonemi. Tak pierwszą formą literatury było opowiadanie ustne: tu należą gęślarze, bajarze pierwotni. Później słuchający nie chcą być oddzieleni od samego opowiadania przez tego pośrednika. Wypadek był przedstawiany przed nimi przez aktorów, grających rolę biernych narzędzi na scenie teatru. Później sam teatr przestaje być zdolnym do wywołania iluzyi życia bezpośredniego. Aktorowie, ludzie należący do jednej sfery rzeczywistości i przedstawiający wypadek wzięty z innej jej sfery, byli pośrednikami zbyt materyalnymi pomiędzy słuchaczami a odtworzeniem idealnem życia. Wynaleziono więc znaki mniej podobne do rzeczy oznaczanych: literatura stała się pisaną. Litery miały wzbudzać w nas świat pojęć, zupełnie od nich niezależnych, gdyż same przez się żadnego dla nas ani sensu, ani pociągu nie posiadają.

Takie są najogólniejsze prawa rozwoju literackiego. Istotnie, pierwszym jego objawem były legendy bajeczne, opowiadania epiczne, baśni ludowe. Dusze proste ludów pierwotnych były zaspokojone w swej potrzebie życia artystycznego temi niejasnemi opowieściami. Wypadki nie były uzasadnione ani w szczegółach, ani w przyczynach, gdyż duchy pierwotne pojmowały życie bez przyczyn i szczegółów. Odtwarzały one z łatwością życie fantastyczne, pełne przygód nadzwyczajnych, gdyż pojęcie praw, którym rzeczywistość podlega, jeszcze się nie utworzyło. Taką była pierwotna mitologia i poezya Greków. Ale rozwój wytworzył z nich z czasem rasę myślicieli, zakochanych w pojęciach jasnych, w rozumowaniach ścisłych. Duch ich zdobył spokój szlachetny i mądry, odbijający się w zimnej pogodzie ich twarzy. W miarę tego, jak od epopei przechodzili do tragedyi, pierwiastek fantastyczny coraz bardziej zanika i umysł ich zastosowywa się do praw rzeczywistości, nad którą chce zapanować. Wyraził to Euripides, mówiąc: „Bogowie wasi, to wasze dusze: okrutne namiętności, naruszające zbawienną równowagę potrzeb.“

Ale tej rasie subtelnych dyalektyków ani baśń, ani dramat nie mogły już z czasem wystarczyć. Wymagali oni od literatury jasnych i pięknie ułożonych pojęć o życiu. Tak powstała powieść dyalektyczna w „Dyalogach“ Platona.

Legenda, teatr i powieść były także trzema fazami rozwoju literatury łacińskiej. Ten sam cykl był wreszcie powtórzony przez literaturę średniowieczną i nowożytną. Legendy cudowne przeważają w średnich wiekach, teatr jest formą typową literatury z wieku Odrodzenia. Mamy tu — głównie w dramatach Shakespeare'a — wspaniałą reprodukcyę życia barwnego, gorącego, szumnego rasy krewkiej. Corneille i Racine utworzyli dramat bardziej spokojny i szlachetny, zastosowany do rasy bardziej wydelikaconej. Ale już w ich tragedyach czujemy bliski koniec formy teatralnej. Tragedya XVIII w., melodramaty romantyków niemieckich i francuskich i wszystkie sztuki sceniczne naszych czasów należą już raczej do powieści, niż do teatru właściwego. Świat zaczął zbyt wiele rozumować i tylko w niższych swych warstwach wymagał jeszcze materyalizacyi dzieł sztuki w teatrze. Poczynając od XVII stulecia utworzyła się nowa forma literacka romansu, a historya literatury sprowadza się prawie wyłącznie do zmian, jakim on podlegał. Na to przekształcenie

literatury wpłynęła potężnie filozofia Descartesa, który oddzielając rozum, jako wyższy, szlachetny, od zmysłów, poziomych źródeł błędu i grzechu, wytworzył kult pierwszego i pogardę drugich. Wrażenia bezpośrednie, zmysłowe były lekceważone i świat zaczęto uważać za system harmonijny pojęć. Ta filozofia zabiła dramat.

Tragedya Racine'a na niej jest zbudowana i dla tego także mało podobną jest do dramatu właściwego np. Shakespeare'a, jak dyalogi Platona. Bohaterowie Racine'a rozwijają w sylogizmach subtelnych powiązanie pobudek wewnętrznych. Ten dramat jest właściwie początkiem powieści psychologicznej, która doszła do zupełnego rozkwitu w naszym wieku, dzięki Stendhalowi, pozostającemu całkiem pod wpływem kartezyańskim. I on widzi tylko dusze, tylko powiązanie motywów, kierowanych zawsze dążeniem do rozkoszy. Psycholog ten spoglądał na ludzi, jako na zatargi pobudek, skierowanych, jak igły magnesowe, ku wspólnemu biegunowi —przyjemności.

Cała to literatura filozoficzna wyrażała przewagę społeczną arystokracyi. Nastąpił jednak okres czysto demokratyczny, którego skutkiem był powrot do zmysłowego poznawania świata i detronizacya rozumu. Pojęcia rzeczy materyalnych zabarwiły się i ożywiły. Romantyzm wyrażał ten nowy stan duchowy w osobie Wiktora Hugo, zakochanego w obrazach o kolorycie gorącym i jaskrawym, w Balzaku, który odtwarza gorączkę złota i ambicyę dorobkiewiczów. Ale pierwsi romantycy, olśniewani nowemi wrażeniami, nie mieli jeszcze zmysłu dokładnego rzeczywistości: wszystko wydawało się im możliwem i nie obawiali się przedstawiać artystycznie przygód szczególnych. Anglicy, których zaraza kartezyańska mniej dotknęła, pierwsi powrócili od tego olśnienia. Romantyk Dickens, również jak Hugo, nie dba o analizę racyonalną, ale jego powieści odtwarzają życie bardziej naturalne i proste. Wślad za nim Flaubert, realiści i naturaliści francuscy, zajęci są odtworzeniem życia coraz bardziej zmysłowego, normalnego i pospolitego. Wszyscy ci pisarze nie wybiegają jednak po za zmysłowość, są obojętni na zatargi wewnętrzne pobudek. Tylko powieściopisarze rosyjscy, a głównie Tolstoj, próbowali odtworzyć życie w jego zupełności, zmysłowej i racyonalnej. Ich bohaterowie mają jednocześnie ciała i dusze: rozumują, czują i postępują.

Literatura francuska nie dała nam takiej powieści zupełnej, która byłaby jednocześnie opisową i psychologiczną. Natomiast udoskonaliła jej formę zewnętrzną, uprościła intrygę, zbudowała język i styl ścisłe, zastosowane do potrzeb naszej epoki.

Dotychczas mówiliśmy o literaturze, jako o sztuce pojęć, ale do niej należy także sztuka wzruszeń, czyli poezya, odtwarzająca je układem muzycznym rytmów i sylab. Tak pojęta poezya jest daleko późniejszą od formy wierszowanej, której ona niekoniecznie wymaga. Istotnie wiersz był początkowo środkiem mnemonicznym, ułatwiał zadanie pamięci i bynajmniej nie miał na celu muzyki wzruszeń. Tymczasem niektóre słowa, będąc od wieków związane z pojęciami wzruszającemi, zdobyły same wartość emocyonalną. Tak pewne połączenia barw, towarzyszące oddawna przedmiotom rozkosznym lub smutnym, stały się z czasem zdolne wywoływać, niezależnie od tych przedmiotów, uczucia rozkoszy i smutku.

Nietylko słowa, ale rytmy i sylaby zdobyły w ten sposób zdolność wzbudzania wzruszeń. Zwłaszcza rytmy, jak to widzimy w krasomówstwie rzymskiem, Cicerona, Sallustyusza i innych. Później też samą władzę zdobyły sylaby, które w pewnych duszach wydelikaconych, dzięki skojarzeniom często powtarzanym, zaczęły wzbudzać wzruszenia smutku lub radości. Tak po muzyce ustnej krasomówców pojawiła się muzyka pisana poetów.

Czyż należy dodawać, iż większość rymotwórców nie była i nie jest poetami? Poezya właściwa, w odróżnieniu od literatury, jest muzyką emocyonalną słów, rytmów i sylab, niezależnie od pojęć i niezależnie od formy wierszowanej lub nie. Tak Ronsard, pod pozorem elegii, tworzył wspaniałe symfonie barw i dźwięków. Tak potężny i rozkoszny Rousseau, jakkolwiek prozaik, był poetą, gdyż jego frazes zachwyca nas, jak śpiew miłosny. Takimi mistrzami muzyki słowa byli także Lamartine, Hugo, parnasowcy, zwłaszcza Mallarmé i szkoła symbolistów, której był twórcą. Do poezyi należy także proza muzykalna takich pisarzów, jak de Quincey, Michelet, Renan.

Takie są materyały, którymi rozporządza literatura współczesna, otrzymawszy je, jako dziedzictwo długiego rozwoju. Każde słowo ma znaczenie nietylko wrażeniowe i pojęciowe, ale także emocyonalne. Literatura nie powinna pogardzać żadnym z tych czynników, lecz, owszem, dążyć do wspólnej ich syntezy. Życie jest powiązaniem wrażeń zmysłowych, pojęć oderwanych i wzruszeń. Literatura, która jest odbiciem życia, powinna korzystać ze wszystkich tych środków. Powieść przyszłości, która jeszcze nie istnieje, nie będzie ani opisem, ani psychologią, ani muzyką słów, lecz żywem połączeniem wszystkich tych form.

Wniosek ten należy do Wagnera. Zasługą p. Wyzewy jest, iż uzasadnił go wyżej wyłożoną teoryą rozwoju literackiego. Są w niej uogólnienia często pospieszne, a nawet błędne, ale bądź co bądź oryginalne i świadczące o myśli obudzonej i niespokojnej. Niestety, krytyk porzucił tę drogę głębszych dociekań, w których był uczniem Taine'a, rokującym wielkie nadzieje, i wstąpił na drogę powierzchownego impresyonizmu, wślad za Lemaitrem i Francem. Teraz p. Wyzewa jest już tylko bardzo przyjemnym fejletonistą literackim.

*Dr. L. Winiarski.*

## „PIEKŁO" W NOWYM PRZEKŁADZIE.

D[illegible] *und* [illegible] *Ende?* Za rok skończy [illegible] sześć wieków od dnia, kiedy twórca *Komedyi*, nazwanej przez potomnych *Boską*, wstąpił pod wodzą Wergiliusza w krainę „wiekuistej męki," a my dziś jeszcze opowieść jego powtarzamy? Czy nie jesteśmy podobni owym starym kumoszkom, co pokazując sobie ukradkiem wielkiego poetę, mówiły: „Oto ten, co był w piekle, patrz, jak ma jeszcze osmaloną twarz i skędzierzawione włosy"?

Zamiast długich i nużących na ten temat rozpraw — oto kilka danych, wyjaśniających zagadkę. Nigdy jeszcze — podkreślam te wyrazy— nie było takiego ożywienia w literaturze Dantejskiej, jak w latach ostatnich. Sztuka złożyła mu hołd najwyższy w dobie płomiennej romantyzmu; wtedy czerpią zeń natchnienie tacy, jak Ary Scheffer, Genelli Delacroix, Ingres aż do największego z fantastów-poetów — Böcklina, nam spółczesnego, i marzyciela-prerafaelisty—Dante Gabriela Rossettiego. Poezya kładła arcydzieła swoje rękami Byrona na stopniach mauzoleum w Rawennie, sławiła go przedziwnemi próbami tłomaczenia Mickiewicza, wielbiła poematem Piasta Dantyszka Słowackiego, wskrzeszała z grobu, prosząc, by mistrzował jako człowiek żywy — Krasińskiemu. Dziś zaś, w elegijnym dniu rozpamiętywań i wzlotów wysilonych, lecz nie orlich — przyszła do głosu krytyka, jako pewnego rodzaju poetycka eucharystya. I ona to pobożnie wpatrując się w oblicza bogów romantyki, zarazem chce przeniknąć nawskróś jej najstarszego ale najgorętszego wieszcza — Alighierego. Widać powszechnie chęć nasycenia się jego geniuszem, potrzebę owiania duszy jego podniebnym lotem. Oto dlaczego od lat kilkunastu rodzą się codzień niemal pyszne a głębokie rozbiory i wizerunki jego, dlaczego pracuje się z rosnącym prawie zapałem nad ustaleniem tekstów, nad wytłomaczeniem zagadek i symbolów, dlaczego wreszcie zjawiają się nowe przekłady, jak leżący przed nami pióra Edwarda Porębowicza.

A może do tego wszystkiego przyczynia się odrodzony mistycyzm? Mimo wszelkie pozory—nie waham się odpowiedzieć przecząco. Mistycyzm i tajemniczość, tchnienie cudowności i nadziemskości kwitnie liliami u Rossettiego, w poezyi— w dzisiejszej zaś krytyce Danta przeważa poczucie sztuki plastycznej, niekiedy ideowej, nader często dążeniowej. Motyw zużytkowania „Komedyi Boskiej" jako wielkiej przecie orędowniczki mistycyzmu — odzywa się względnie rzadko. Jednak odzywa się i dla przykładu warto przytoczyć wstęp piękny i oryginalny Pelladana do francuskiego tłomaczenia sonetów Rossettiego (młodszego). Dla usprawiedliwienia zaś, dlaczego nie jest on częstszym, możnaby, sądzę, podać, iż nadziemskość Dantejska zbyt wyraźną nosi szatę teologiczną, gdy dzisiejsza jest rodzajem poetyckiej metafizyki albo też rozszerzeniem duszy za granice ciała, wysnuciem z niej mnóstwa tajemniczych choć niewidzialnych spójni między jednostkami.

Co zaś niewątpliwie zaważyło na szali, to nieogarniona złożoność ducha Dantowego, tak pokrewna dramatycznemu szamotaniu się człowieka dzisiejszego. Nie zdaje mi się nawet, ażeby dusze dawniejsze były w stanie odczuć całą gmatwaninę psychiczną boskiego pieśwcy, ażeby mogły sprostać jego mozolnym rozwojom i doskonaleniom się wewnętrznym, jego ogromnemu rozdwojeniu na potężną ambicyę i dumę wobec ludzi oraz korne rozanielenie w obliczu rzeczy wiekuistych i świętych. Tylko za naszych dni mogła powstać głęboka myśl Karola Wittego, że główne utwory Aligierego, *Nowe Życie, Biesiada* i *Komedya* odpowiadają trzem fazom przerabiania się natury jakoby—Faustowskiej, że więc poeta przebył taką samą drogę odszczepieństwa, jałowych, dociekań i nawrócenia jak wiele wszechludzkich postaci nowej poezyi, a głównie bohater Goethego. Co wypływa stąd? Że mamy po prostu wyższość nad dawniejszymi czytelnikami i choć odleglejsi od chwili dziejowej i napozór zatem mniej uzdolnieni do odczucia jej wytworów — jednak pojmujemy Danta lepiej i pełniej, niż pisarze z przed wieków. Wypływałoby zarazem i to, że jego olbrzymia postać sterczy jak kolos rodyjski nad pasem morza, które nas od wieku czternastego dzieli.

Czyż wobec tego można się dziwić, że mając kilka tłomaczeń „Komedyi Boskiej"—chcemy mieć nowsze, doskonalsze, bardziej dostrojone do nowych wymagań poetyckiej harmonii i subtelności, wierniej odtwarzające te rdzliczne żywioły, z których się ona u Danta składa? Są to mianowicie: niesłychana i niedościgniona muzyka wiersza, trudny ich układ w tercyny, giętkość, olśniewająco bujne bogactwo mowy, jej rodzimość i często ludowa dosadność, jej zwięzłość i obrazowość, siła i rozpęd w miejscach tragicznych, cudowna rzewność i miękość w lirycznych, lapidarny ciężar w *Piekle*, a powiewna lekkość w *Raju* itd. itd. — zwłaszcza pierwsza z tych części jest w składzie swym duchowo-estetycznym nader zawiła. Cała bowiem groza obrazów męczarni i potępieńców podesłana jest bądź głęboką nieśmiałą litością, bądź pewnem żałosnem rozbawieniem. Prostoty niema nigdzie. Jest to zawsze gra na wie-

lostrunnej lirze, która jednocześnie płacze i śmieje się, dźwięczy patosem i rozmyślnymi odgłosami trywialności.

Tę najtrudniejszą — niewątpliwie—choć i najwdzięczniejszą część: *Piekło*, p. Porębowicz przełożył z wielkim nakładem pracy i talentu. Należy domyślać się, że na niej nie poprzestanie i gdy dokona dzieła, da sposobność do szerszego omówienia swej zasługi i porównania z innemi podobnemi. Ale i teraz jest ona niemała i należy mu się gromki wyraz pamięci, że wziął się za bary z kolosem. Najlepiej sam on zadanie swoje w stosunku do wcześniejszych przekładów określa:

„Tłomacz, podejmując na nowo problem przekładu B. K., okazałby brak pietyzmu, gdyby nie uszanował poprzedników, z którymi złączyła go cześć dla boskiego poety i nie wymienił Korsaka, Stanisławskiego, Faleńskiego. Na dwu pierwszych patrzy z podziwem i zazdrością, gdyż dane im było dokonać dzieła; z ostatnim pragnie skutecznie współzawodniczyć, zwalczając trudności tercyny." To znaczy, że chce być więcej od nich wiernym odtwórcą oryginału. Cel ten ma w sobie dużo nowego wobec dzieła Korsaka, który polszczył wprawdzie wierszem, ale ani co do rodzaju zgodnym z wierszem *Komedyi*, ani dorastającym mu zaletami wewnętrznie poetyckiemi, ani wreszcie dosyć dokładnym — aczkolwiek mnóstwo tam miejsc przedziwnie pięknie oddanych. Jeszcze więcej nowym jest wobec Stanisławskiego, który poprzestał wprost na tak zwanym wierszu białym — znacznie zaś mniej wobec Faleńskiego, który jest bądź co bądź poetą z Bożej łaski, również szczerym jak głębokim i wytwornym. P. Porębowicz poetą właściwie nie jest, ale ma pierwszorzędną zdolność przyswajania naszemu językowi poezyi ze szczepu romańskiego, i znakomicie włada językami południa. Należy przypuszczać, że rozumie Danta nietylko jako wrażliwy czytelnik i krytyk, ale i jako znawca tych właśnie języków, z których wieszcz florencki utworzył swoją mowę, po raz pierwszy we Włoszech swojską na wielką skalę, mowę przytem złożoną i z gwar używanych przez trubadurów prowansalskich, na których nasz tłomacz zna się szczególnie dobrze.

Bodaj więc czy nie ta właśnie cecha określa odrębność *Piekła* w nowej szacie polskiej. Uderza w niem bowiem przedewszystkiem ścisłość rozumienia i wybujały język, w którym doskonale się sprzęgły nuty wzniosłe z groteskowo dosadnemi. Jest on bardzo słowiański, choć nie zawsze w równej mierze polski. Możnaby powiedzieć słowy tłomacza, wziętemi z jego przekładu *Don Juana* Byronowskiego:

Ja gdy czasem kolę,
To sobie radzę tem w rymów mozole.

Otóż tutaj kłuje on nas niekiedy wyrażeniami, jak „dzięgi" (pieniądze), „szczeka" (policzek), „nie lza" (nie można). Prawda że akcent, w którym ich używa, częściowo usprawiedliwia zastosowanie; a w wielkiej nawale pojęć, któremi się „Piekło" roi — prawie że znikają niepostrzeżenie. Jest to pod względem formalnym praca wysoce stylowa i rozumna.

Inna rzecz, czy nie ma braków bardziej treści dotyczących. Otóż łatwo zgadnąć, że trzeba było skwitować z dosłowności tej, która np. tak doskonałą jest, a przecież zgoła niewymuszoną u Stanisławskiego. Wypadało dużo ująć i sporo odjąć. Tak np. w słynnej Pieśni III (tłomaczonej także przez Mickiewicza) p. Porębowicz pod wiersz: „Rispose: Dicerolti molto breve" podkłada słowa: „A on wysłuchał mię i tak poucza," zamiast: — mniej więcej — „A on odrzecze: Powiem bardzo krótko." Tu chodzi o coś więcej, niż o ścisłą zgodność pojęć i nią pedanterya tę uwagę dyktuje, lecz naodwrót, wzgląd na ducha samego utworu. Jemu to niejednokrotnie tłomacz ujmę czyni, zubożając o jedną bardzo wielkiej wagi wartość.

Wymaga to wyjaśnienia: „Komedya Boska" uchodzi powszechnie za wcielenie siły i fantazyi, a zapominają o jej niewysłowienie czarującym podkładzie uczuciowym, który zbiera się w istną łzawnicę, cudnie piękną — w ostatnich pieśniach „Czyśćca" — ale i w „Piekle" raz po raz serce nasze uderza. Jest to jakaś szlachetna korność względem mistrza Wirgiliusza, ludzkie współczucie dla dręczonych grzeszników, ton zasadniczo rzewny i smutny, który odnaleźć można chyba tylko w „Wieczerzy Pańskiej" Lionarda da Vinci, albo „Madonnie Sykstyńskiej" Rafaela. Jest ta ustawiczna wymiana miłosnego pietyzmu między przewodnikiem a pielgrzymem i budzenie się litości u obu — najbardziej na dziś zrozumiałym, prawdziwie wzruszającym czarem Danta. Pojmuję przeto, że można być pochopnym do spotęgowania go, do powetowania nim niektórych motywów, zbyt historycznych lub zamierzchłych, aby mogły dostatecznie przejmować. Sądzę nawet, że należy ten urok możliwie wypieszczać, ale nie widzę racyi najmniejszej — zmniejszać go. Owóż przekład p. Porębowicza grzeszy najwidoczniej pewnym brakiem uczuciowości i co za tem idzie, poezyi lirycznej.

Oto kilka dowodów: Kiedy poeta łaciński zapytany o coś, odkłada odpowiedź na czas późniejszy, gość piekieł boi się, ażeby go nie urazić dalszemi pytaniami i wyraża to nader tkliwie i ze czcią nadzwyczajną:

Temendo no'l mio dir gli fusse grave,

Tłomacz bierze to nieco urzędownie i „przyzwoicie":

Zamilkłem, nie chcąc dłużej być natrętem.

„Nad żałosnym brzegiem Acherontu" (sulla trista riviera d'Acheronte) zmieniło się w „Acheront strumień niedoli." Pięknie to wysławia Stanisławski: „Nad Acherontu smutnemi wodami." Zamiast: „Co im tak ciąży, mistrzu, że tak strasznie płaczą?" — czytamy: „Co im to dokucza, że tak biadają głosami rozpaczy?" Gdzieindziej odebrano mistrzowi nazwę uprzejmy lub dobrotliwy (str. 21).

Dużo utraciła sławna skarga Paola i Franceski. „Nessun magior dolore, che ricordarsi del tempo felice nella miseria" — wypadło bladziej, bo bez wspomnienia:

Niema straszniejszej boleści,
Jak myślą (?) szczęścia zaprawiać rozpacze.

A gdy cień zamordowanej kochanki daje do zrozumienia, że kuszącą książkę odłożyli po to, ażeby rzucić się w objęcia pieszczoty, domyślnik ten znika w słowach:

Już nie bawiło nas w ten dzień czytanie.

Mogłoby to wyrażać, że byli np. smutni, zadumani, powarzeni, a tymczasem powinno być suggestyjnie:

Jużeśmy w dzień ten więcej nie czytali.
(Stanisławski).

Nadto litość poety, tych żalów słuchającego, wydaje się w tłomaczeniu suchszą, niż w oryginale.

Gdy jeden mówił, drugi cień w tej chwili
Szlochał; a jam czuł, że się coś rozkłada (?)
We mnie i duch się mój ze śmiercią silił.

A powinno być: tak szlochał, żem się z litości słaniał jakobym miał umrzeć.

Owdzie zmniejszono uduchowienie, mówiąc o Wergilim:

A on mi na to jak człowiek świadomy...

kiedy to właściwie już nie człowiek, jeno istota. Nieraz też wyraz osobowego bólu — przekształcony został na bezosobowe zaznaczenie faktu, przez co słabnie dramatyczna gra rozmowy. A dalej zatarto mnóstwo subtelnych odcieni, przestanków, zamilczeń i powłóczystości, która niby jakaś mgła romantycznie tajemnicza i wzniośle widmowa otula obie figury. Dante posiada szczególne *legato*, harmonijne przejścia między strofami, składające się na pewną muzyczną elegijność: *Ed io, Ed egli a me, E poiche* (a potem): To wszystko prawie doszczętnie zanikło, czy też padło ofiarą rymów, które choćby najbardziej misterne, takiej straty nie nagrodzą. Są to usterki na pozór drobne, dla wielu może wprost niedostrzegalne, ot, pewne niedociągnięcia — ale jest ich tak dużo, że w sumie odebrały arcydziełu jego nabrzmiałość bólem i miłością — tak jednak świetnie zachowaną przez Stanisławskiego. Ten ostatni, dając język niewyszukany, zachował całą szczerość i liryzm oryginału, których szczytem są owe wiekopomne tercyny o bramach piekła. Zarówno w treści, jak w doborze słów i rytmie pełno wyroczności, rozbolałe, posępne i — jak świat szerokie. Spolszczył je bajecznie pięknie, jak brat odczuwający pierworodną niedolę — i obdarzony tego samego rozmachu skrzydłami — Mickiewicz:

Przeze mnie droga w miasto utrapienia,
Przeze mnie droga w wiekuiste męki,
Przeze mnie droga w naród zatracenia,
Jam dzieło wielkiej, sprawiedliwej ręki,
Wzniosła mię z gruntu Potęga wszechwładna
Mądrość najwyższa, Miłość pierworodna.

Doskonale uczynił tłomacz, że te sześć wierszy, najpiękniejszych bez wątpienia w całej Komedyi — zachował. Byłoby z wielką korzyścią dla dalszego ciągu tej wspaniałej pracy, gdyby się ich tonem zasadniczym przejął i bodaj mniej dbając o wyrazy — tu niezwykłe lecz często suche — natchnął je ową jedyną w swym rodzaju tkliwością włoską. Piekło Danta jest olbrzymiem i wezbranym potokiem łez — piekło Porębowicza tymże potokiem — ale jakoby wysychającym *). Zanadto on przypomina dosadną fantastyczną manierę malarza sądów ostatecznych i śmierci — Orcagna, a za mało rzewnego i już harmonijnego Giotta — tego Rafaela epoki gotyckiej i przyjaciela Danta. Niech tłomacz usłucha rady więcej niż życzliwej i na przyszłość zejdzie z wyżyn katedry profesorsko-językoznawczej na niziny bolejącego serca ludzkiego...

*Cezary Jellenta.*

## BOLESŁAW SYREWICZ.

(wspomnienie pozgonne).

Nie należał do tych, za którymi dąży tłum uczniów i naśladowców, nie był tym, który sztukę na nowe tory wiedzie, kochał tylko ją i jej poświęcił życie. Skromną jest jego historya. Urodzony w r. 1835 w Warszawie Syrewicz rozpoczął naukę rysunków u Jana Feliksa Piwarskiego, sztycharza, litografa, miedziorytnika i rysownika, a jednocześnie pełnego zapału profesora rysunków w nowej szkole malarstwa w Warszawia od jej wznowienia aż do roku 1848. Podstawy miał więc Syrewicz dobre, bo szkoła Piwarskiego należała w owe czasy do najlepszych; z niej wyszli Gerson, Henryk Pillati, Józef Brochowski i in. Po roku 1857 widzimy młodego artystę na studyach w Berlinie u Fischera, następnie w Monachium u Widmana, wreszcie w Rzymie — w Akademii św. Łukasza. Po dzie-

*) Ten nastrój umysłu tłomacza, nieco zanadto naukowy, uwydatnia się we wstępie do poematu, skądinąd godnym uwagi — tak jest treściwy, pełny i zwięzły. Dziwne tylko, że w literaturze przedmiotu pominięto F. X. Wegelego, autora najlepszej bodaj i *najszerszej* książki o Dantem, a któremu bardzo dużo zawdzięcza Scartazzini i Kraus, a już trochę może za dużo Klaczko.

sięciolotniej pracy nad własnem doskonaleniem się wraca Syrewicz do Warszawy i obejmuje pracownię w b. Zamku Królewskim po zmarłym w r. 1866 Władysławie Oleszczyńskim. Lecz nie siedział stale na jednem miejscu: od czasu do czasu robił wycieczki za granicę do ognisk sztuki w pogoni za wrażeniami i doskonałością formy. Jego talent i fantazya artystyczna nie ciągnęły go do tworzenia rzeczy wielkich, pomnikowych: w rzeźbie był głównie portrecistą i w świat puścił ze swojej pracowni cały szereg biustów, odznaczających się sumiennością wykonania i dobrze uchwyconem podobieństwem, jak np. popiersie hr. Józefa Zamojskiego, Leopolda Kronenberga, Dominika Zielińskiego (w Tow. kred. m. Warszawy), Steinkellera (w resursie Kupieckiej), Fryderyka Chopina (w Konserwatoryum muzycznem) i w. in. Do najdawniejszych, a jednocześnie większych prac Syrewicza należą: grupa św. Walentego przed szpitalem w Kutnie, płaskorzeźba „Chrzest Chrystusa" w katedrze św. Jana w Warszawie, nagrodzona przez papieża medalem, statua „Wenus z lusterkiem" w Łazienkach i in.; prócz tego z pod jego dłuta wyszedł cały szereg pomników grobowych, znajdujących się w kościele Św. Krzyża oraz na cmentarzach warszawskich. Wszystkie te prace, jeśli nie zdobyły swemu twórcy wielkiej sławy i wielkiego rozgłosu, w każdym razie zapewniły mu stałe i własne miejsce na kartach dziejów sztuki polskiej.

## W DALI.

**Lublin.** W powiecie Hrubieszowskim istnieje 13 gminnych kas oszczędności, otwartych od roku 1872 — 1889. W dniu 13 stycznia r. b. składki w tych kasach wynosiły 196,919 rb., a w tej sumie depozyt 2,924 rb. Zysk czysty z obrotu wynosił rb. 8,131, wogóle zaś od początku istnienia 74,587 rb. Na mocy ustawy, zysk czysty kas gminnych można używać na cele gminne, ale tylko, o ile kapitał zakładowy powstał z funduszów gminnych, nie tak zwanych rządowych. Tymczasem tylko 7 kas otwarto przy pomocy kapitałów rządowych, wynoszących zaledwie 6,818 rb. Ograniczenie to krępuje gminy w zarządzie kas i w przeznaczeniu zysków czystych na cele ogólne. Z tego powodu, jak piszą *Lub. gub. wied.*, jedna gmina ma zamiar prosić, aby kapitał rządowy wycofano z tej kasy. — *Gazeta Lubelska* podaje następujące ciekawe szczegóły i uwagi: „Kasa przemysłowców miejscowych otrzymała polecenie z ministeryum skarbu, aby zamieniła się na Towarzystwo wzajemnego kredytu. Dziwnym zbiegiem okoliczności toż samo ministeryum zatwierdziło ustawę Towarzystwa wzajemnego kredytu, które od pół roku działa w gubernii Lubelskiej. Tym sposobem istnieją dwie instytucye na wzajemności oparte i niema żadnej wątpliwości, że na tak małym terenie działania nie mogłyby rozwinąć się normalnie, nie szkodząc jedna drugiej. Wprawdzie kasa przemysłowców pragnie i nadal działać na tych samych jak dotąd zasadach: gdyby jednakże stanowcze żądanie ministeryum skarbu uniemożliwiło starania w tym celu podjęte, to kasa ta, posiadająca znaczny fundusz rezerwowy, kapitały na lokacyi, a nadto mając za sobą blizko 15-letnią działalność i obsługując należycie potrzebujących kredytu, daleko łatwiej uniknie obrotów ryzykownych. Nie jedna nasza kasa, ale wszystkie kasy przemysłowców w kraju otrzymały od ministeryum skarbu podobne, jak nasza żądanie. Niektóre z nich, jak: kaliska, piotrkowska i łódzka zamieniły się na Towarzystwa wzajemnego kredytu; łomżyńska, radomska, warszawska, kielecka i nasza działają na dawnych zasadach; ale wszystkie są przygotowane na zmianę ustawy. Bardzo wiele z tych osób (jeżeli nie większość), które zapisały się do Tow. wzaj. kredytu, są członkami kasy przemysłowców i na jej szkodę działać nie mogą, bo inaczej strzelaliby do swojej kieszeni".

**Mińsk.** Ogłoszono urzędowe dane statystyczne, które rzucają pewne światło na ruch własności ziemskiej i ogólny podział jej śród właścicieli rozmaitych wyznań w gub. Mińskiej: Roku 1897, 23,943 dziesięcin ziemi nabyły osoby niepodlegające prawu z dnia 10 grudnia. Największa ilość ziemi (8,840 dzies.) sprzedano w pow. Mozyrskim, dalej w Pińskim (6,201), Borysowskim (2,968), Bobrujskim (1,906), Mińskim (1,486), Słuckim (1,017), Ihumeńskim (1,158), Nowogrodzkim (309). Lista ogólna nowych właścicieli mniejszych i większych wynosi 306. Znaczną część stanowią tu włościanie, którzy łącznie nabyli 3,386 dziesięcin. W dniu 3 stycznia 1898 r. własność większa ziemska w gub. Mińskiej tak się przedstawiała: właścicieli ziemskich wyznania prawosławnego było 8,941, posiadających ogółem 1,809,468 dzies. ziemi, dalej katolików 4,548, w których ręku pozostawało 2,246,776 dzies., do 252 starowierców należy 59,069 dzies. (najwięcej ich jest w pow. Borysowskim); właścicieli ziemskich protestantów i reform. naliczono 95, do nich należało 401,595 dzies.; następnie mahometan było 100, posiadających 9,786 dzies., wreszcie 159 żydów, władających obszarem wynoszącym 3,171 dzies.

**Petersburg.** P. minister spraw wewnętrznych był upoważniony do złożenia Radzie państwa przed upływem r. 1894 wniosków swoich w sprawie reformy ziemskiej w guberniach południowo-zachodnich. W tym celu zażądał zdania generał-gubernatorów wileńskiego i kijowskiego, tudzież gubernatora witebskiego, mohylowskiego i mińskiego. Opinie te są nadzwyczaj sprzeczne. Oto co o nich mówią *Peterb. Wied.*: „Gubernatorzy: grodzieński, kijowski, kowieński i wołyński oświadczyli się za wprowadzeniem ziemstw w całej pełni lub z drobnemi zmianami, zapewniającemi żywiołowi rosyjskiemu przeważny wpływ na sprawy ziemstw. Przeciwnie, b. generał-gubernator kijowski, hr. Ignatiew, oraz gubernatorzy: miński, podolski, wileński i witebski oświadczyli się przeciwko ziemstwom. Wobec takich różnic ministeryum sporządziło memoryał, obejmujący zasady, na których podstawie reforma mogłaby być dokonana." Poglądy generał-gubernatora kijowskiego, Dragomirowa, pismo powyższe tak streściło: „Gubernie południowo - zachodnie pod względem żywiołu polskiego różnią się zasadniczo od innych gubernij. Przestrzeń własności ziemskiej polskiej jest stosunkowo niewielka i uszczupla się z roku na rok; żywioł polski liczebnie jest nieznaczny, rozpowszechniony zaś pogląd na właścicieli Polaków, jako na zwartą grupę karną i mogącą wprowadzić do działalności ziemstw komplikacye niepożądane, nie zasługuje na roztrząsanie poważne. Szlachta polska wyższa (?) z czasów dawnych wypracowała swoją karność stanową na gruncie niewoli włościańskiej, a więc takim, któremu ustrój naszego państwa nie sprzyjał. Oderwana od tego gruntu szlachta stale ujawniała wszelkie oznaki rozprzężenia i zmurszałości, w znaczeniu życiowej siły społecznej, a po za ekonomiami polskiemi — których dni, wobec praw ograniczających, jakie obowiązują, są policzone — rola tego żywiołu prawie nie istnieje." Generał-gubernator kijowski, zważywszy to wszystko, oświadcza się za reformą bez ograniczeń, zaleca atoli, izby „urzędy prezesów i członków rad, jako pozostające w blizkiem zetknięciu z ludnością, były obsadzane wyłącznie przez osoby pochodzenia rosyjskiego."

## KRONIKA.

**Wiadomości społeczne.** Towarzystwo dobroczynności w Łodzi poruszyło myśl utworzenia instytucyi, której zadaniem byłoby otaczać opieką dzieci wychowywać je i kształcić zarówno umysłowo, jak i fachowo. Z instytucyi takiej korzystałyby nietylko sieroty, lecz i dzieci ubogie od lat najmłodszych aż do wieku, w którym same na siebie mogłyby pracować.

- Macierz szkolna w Cieszynie (na Szlązku austryackim ogłosiła świeżo pod datą 1 lutego sprawozdanie zarządu za czas od d. 1 października do 31 grudnia r. z. W kwartale tym wpłynęło do kasy Towarzystwa 4,436 zł., wydatki zaś wyniosły 26,722 złr. (w sumie tej mieści się cena kupna placu pod budowę gimnazyum, w kwocie 18,000 złr.). Cały fundusz na utrzymanie gimnazyum polskiego w Cieszynie wynosi obecnie (papiery obliczone według wartości nominalnej) 75,161 złr. Stypendyalny dla niezamożnych uczniów tegoż gimnazyum wynosi 3,416 złr. Fundusz na założenie i utrzymanie ochronki polskiej w Cieszynie 154 złr., na założenie i utrzymanie polskiego seminaryum nauczycielskiego 350 złr., wreszcie na założenie i utrzymanie bursy im. Adama Mickiewicza 373 złr.

— Na ostatnim świeżo zamkniętym zjeździe hydrotechnicznym w Petersburgu między innemi poruszono sprawę założenia kasy emerytalnej dla służby żeglugowej, jak flisaków, orylów, majtków, sterników, szyprów, maszynistów i pracowników żeglugi wodnej innych kategoryj.

— Z inicyatywy krakowskiego Towarzystwa lekarskiego i Towarzystwa przyrodników polskich imienia Kopernika utworzył się komitet gospodarczy IX zjazdu lekarzy i przyrodników polskich, który się odbędzie w połączeniu z wystawą przyrodniczo-lekarską latem r. 1900 w Krakowie.

**Szkoły.** Ministeryum oświaty zatwierdziło przepisy tymczasowe, dotyczące urządzania i prowadzenia ogrodów tudzież sadów przy szkołach początkowych.

Bieżący rok szkolny we wszystkich zakładach naukowych średnich i wyższych skończy się d. 7 czerwca.

— Gubernator grodzieński wystąpił z projektem opodatkowania na rzecz szkół wszystkich gruntów w gubernii i wprowadzenia przymusu szkolnego dla dziatwy płci obojej z warstw ludności opodatkowanej.

— Poruszono myśl zniesienia egzaminów konkursowych wstępnych w zakładach naukowych ministeryum oświaty. Natomiast kandydaci przyjmowani będą przez losowanie.

**Na politechnikę.** Uchwalono już następujące ofiary na rzecz politechniki warszawskiej: przędzalnia Leona Allarta i Sp. w Łodzi ofiarowała 4,066 rb. 20 kop., sosnowickie Tow. kopalni węgla 45,000 rb. fabryka wyrobów bawełnianych Karola Scheiblera w Łodzi 36,000 rb., Tow. kopalni węgla „Saturn" w Czeladzi 20,000 rb., fabryka wyrobów bawełnianych K. Poznańskiego w Łodzi 30,800 rb., francusko-włoskie Tow. kopalni węgla w Dąbrowie 6,000 rb. Niezależnie od powyższych firm, zaraz po ostatecznem zamknięciu rachunków za r. 1898, wniesiona będzie ofiara Tow. „Huty bankowej" oraz następujących firm: J. Bari, H. Birnbauma w Łodzi, Fitznera i Gampera w Sielcu i Dąbrowie, M. Silbersteina w Łodzi, Tow. „Zawiercie," domu handlowego K. Schön w Sosnowcu itd. Pieniądze składane są przeważnie w Banku handlowym warszawskim.

**Prasa.** W Krakowie zaczął wychodzić *Postęp okulistyczny*. Wydawca dr. Bolesław Wicherkiewicz, profesor uniwersytetu Jagiellońskiego.

— Z rozporządzenia p. ministra spraw wewnętrznych zawieszono druk ogłoszeń prywatnych w gazecie *Graždanin* za to, że „umieszczono niestoso[illegible] druku i wyzywające opinie o osobach dawnych tudzież obecnie zarządzających ziemskim bankiem państwowym."

**Odczyty.** W połowie przyszłego miesiąca odbędą się odczyty na rzecz Tow. osad rolnych w następującym porządku: Prof. Szymon Askenazy: „Przyczyny wielkiej wojny (1812)"; adw. przys. Stanisław Bełza: „Z podróży po Sycylii" (z obrazami niknącymi); prof. Józef Jerzy Boguski: „James Clark Maxwell, jego żywot i dzieła"; adw. przys. Karol Dunin: „O ślubach cywilnych"; Maryan Gawalewicz: „Nowela"; Walery Gostomski: „Co to jest dramat Wagnerowski?"; adw. przys. J. M. Kamiński: „Nie mów fałszywego świadectwa przeciwko bliźniemu twemu"; dr. med. Henryk Nussbaum: „Ideał dobra ze stanowiska hygieny ciała i duszy"; adw. przys. Antoni Pilecki: „Geniusz w poezyi czasów nowszych"; K. Sporzyński: „Na Lofotach"; Adam Szawłowski: „Wpływ salonów i kobiet na ruch umysłowy w w. XVIII" (dwa odczyty).

**Koleje i komunikacye.** W pociągach mają być wyznaczone osobne przedziały dla chorych, bez dopłaty za przejazd, w wagonie II kl. (*Peterb. Wied.*).

— Zarząd Towarzystwa kolei Moskiewsko-Kijowsko-Woroneżkiej na wiosnę przystąpi do studyów celem budowy nowej odnogi od Czerkas przez Woznesieńsk do Odesy. Linia ta skróci odległość pomiędzy Moskwą a Odesą o 300 wiorst.

**Przemysł i handel.** Piwowarzy warszawscy, którzy w ostatnich czasach zaczęli coraz gorsze wyrabiać piwo i tem samem tracić coraz więcej odbiorców, przerazili się współzawodnictwem zagranicy, Rygi i Wilna na rynkach naszych. Chcąc złe choć w części naprawić, postanowili wprowadzić różne ulepszenia w produkcyi. Między innemi z funduszu swego zgromadzenia przeznaczyli 3,000 rubli na urządzenie laboratoryum do analizy wszelkich materyałów, którymi się posługuje przemysł piwowarski. Laboratoryum zaczęło już działać pod nazwą: „Stacya doświadczalna zgromadzenia piwowarów warszawskich."

— Ostatecznie już zatwierdzono ustawę Towarzystwa rolniczego w Kielcach.

**Katastrofy.** W Belgii na stacyi Forest z powodu mgły spotkały się dwa pociągi osobowe. Zabitych 23 ranionych 65. Byli to przeważnie ludzie pracujący i dziatwa szkolna. Ani jeden wagon kl. I i II nie ucierpiał. Podobno przyczyną katastrofy było niedbalstwo służby stacyjnej, która zaniechała wywieszenia sygnałów ostrzegawczych, pomimo iż pociąg wyruszał ze stacyi z opóźnieniem 15 minut.

## *Odpowiedzi Redakcyi.*

*Herbowcnym.* Polemik rzeczowych z artykułami gdzieindziej drukowanymi nie zamieszczamy, a tem bardziej osobistych. Mamy tak mało miejsca w *Prawdzie*, że musimy je oszczędzać dla spraw i artykułów ważniejszych. Chociażby więc k. Antoni Rawicz napisał istotnie w *Kraju* paszkwil na p. A. Jelskiego, my obrony i skarcenia nie zamieścimy. Mamy obowiązki względem naszych abonentów, które wypełniać musimy.

*Z. (?).* Nadesłane wiersze nie mają wartości artystycznej. Widać z nich, że Pańskim siłom bardziej odpowiadałaby humorystyka.

## OFIARY.

Wydział szpitali i przytułków Towarzystwa Hygienicznego uzyskał pozwolenie zbierania składek na „Sanatorium dla suchotników," o którem mówiliśmy w poprzednim numerze. Administracya *Prawdy* również pośredniczyć będzie w przyjmowaniu ofiar na ten cel szlachetny.




Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 12 Февраля 1899 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.